CENA 15 ZŁ

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW
KATOWICE

NUMER 47 (104)
KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 23 LISTOPADA 1947 ROKU
ROK III

Praca na przodku. Na zdjęciu górnik W. Pstrowski ze swoim ładowaczem.

Fot. A. Bogusz CZPW

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Czarny chleb

Wanda przebiera się w ostatniej kabinie. Nie myślę o niej. Zmuszam się wbrew samemu sobie, na przekór tęsknotom. Tęsknotom nie do niej, ale do tego, co już zaszło w moim życiu i co może się już nigdy nie powtórzyć. Ograniczam siebie mimo bojaźni o to. że się nie powtórzy.

Trzeba zdjąć ubranie i przebrać się w kombinezon z gęstego, szarego płótna. Wysokie gumowe buty, gumowy pas, hełm. Słyszę szelest jej sukni. Ale ta ściana, którą odgradza nas naprawdę, zaczyna nas odgradzać również w przenośni. To dzieje się wbrew moim założeniom: chciałem ją ściągnąć z obłoków ziemi — pod ziemię, w obłoki węglowego pyłu. Żeby zobaczyła, żeby dotknęła, żeby usłyszała. Jeszcze teraz sądzi, że tam, pod spodem jest coś w rodzaju czysto zamiecionego i komforotowo urządzonego hadesu. Żeby górnicy mieli co jeść. Żeby było ciepło w zimie. Żebyśmy mieli o czym pisać. Kiedy tłumaczyłem jej, że jest inaczej, przytakiwała: Wiem, rozumiem, wyobrażam sobie. Kobiety zbyt polegają na swojej istotnie przesubtelnionej intuicji, która kończy się najczęściej w miejscu, gdzie zaczyna się to, co nazwałbym wrażliwością społeczną. Wstydzą się jak obnażone, kiedy im zarzucimy, że nie pojmują Polski. W rzeczywistości wzruszają się bardziej piosenką: „Czerwone maki na Monte Casino“ — bardziej wzruszają się tą lub inną piosenką niż pracą górnika.

* * *

Uśmiecha się. W płaskim hełmie o angielskim kroju wygląda jak jedna z „Bohaterek Pacyfiku“. Gdyby zabłąkała się w kopalni, mogłaby być jej duchem. Przypuszczalnie nazywanoby ją „madonną opuszczonych szybów“.

Włosy gładko uczesane, spięte klamrą na tyle głowy, przysłania je hełm. Prosiłem ją o to. Górnicy nie lubią kobiet pod ziemią. Prosiłem ją, żeby wyglądała jak mężczyzna. Umie przecież być tak rozmaitą. Przechodząc powinna ruszać ręką nie w łokciu ale w ramieniu. Górnicy niechętnie spotykają kobiety pod ziemią. Nazywają je pogardliwie: „babski sztygar“ — albo jeszcze gorzej.

Wanda wyglądała tak, jak chciałem. Ciekawość zmusza do uległości. Przechodzimy podwórze. Używam w rozmowie chwytu, który zmusi ją do powagi i rzetelności w ocenie. Wiem o tym, że między nią a Polską budowaną na ziemi istnieją pewne konflikty, delikatne, na pozór błahe, a jednak istotne.

Jest niepokojąca. Chciałbym żeby uwierzyła w naszą wspaniałą pogardę dla małości i w nasz podziw dla rozmachu. Mówię do niej: nie zjeżdżamy pod ziemię dla nasycenia mego żarłocznego podziwu i mojej dumy. Będziemy mówili z przodującymi górnikami, którzy zarabiają dużo — i z tymi, którzy są w tyle, którzy nie mogą lub nie chcą. Którzy są niedostatecznie odżywieni. Lepiej niż górnicy, których widziałem we Francji i w Niemczech — ale jeszcze niewystarczająco. Znasz cenę masła, poznasz cenę wysiłku. Miłość rodzi się w wyrzeczeniach. Oto temat do podziwu.

Dochodzimy do okratowania windy. W jasnych oczach Wandy widzę poraz pierwszy sekundę lęku. Nieuchwytnego dla innych, niedostrzegalnego. Dotykam przelotnie jej dłoni: jest spokojna.

* * *

Podają nam zapalone karbidowe lampy. Wystarczą, w kopalni nie ma gazów. Wywołana z głębi ziemi winda wznosi się w górę. Jest. Wchodzimy z górnikami. Opadamy.

Ślisko, wilgotno. Klatką windy wstrząsa drżenie. Zawieszone na linie pudło windy hebluje ściany powietrza. Dotykam wierzchem dłoni jeszcze raz ręki Wandy. I zaczynam rozumieć, że zjazd do kopalni może być wielkim przeżyciem. Wielkie przeżycie przechodzi, wpływa we mnie przez dotyk. Jest tak, jak powinno być. Już jestem czuły, mam otwarte oczy i słyszę najodleglejsze szmery.

Kurtyna nie jest opuszczona. Ale podnosimy ją poraz drugi.

* * *

Stop. Winda osiada na słupie powietrza. Pod nami, niżej, jest jeszcze groźny i nieopanowany przestwór kopalni: drążony uparcie nowy pokład. Na chrzcie dano mu imię Andrzej. Tam nie wolno zjeżdżać z karbidową lampą. Gazy.

Wysiadamy. 260 metrów pod poziomem. Klatka windy jest oświetlona, odchodzimy w mroczny, zapylony węglem i słabym światłem labirynt korytarzy, obok przejeżdżających ciężkich wózków żelaznych między ścianami węglowymi, przewodami elektrycznymi i rurami, doprowadzającymi powietrze.

Na ukos, w poprzek, pochyło, krok za krokiem, ostrożnie. Przez kałuże, szyny, progi, obok stempli, obok rynien żelaznych, obok rozpędzonych taśm. Tam jest warsztat podziemny — na prawo drugi. Uwaga! Wagony po węgiel. Wagony z węglem. Znowu długa kolumna pustych wagonów, egzotyczna karawana w wyprawie po czarny chleb dla hut, dla maszyn, lokomotyw, elektrowni. Syntetycznej benzyny. Niebezpieczna wyprawa po czarny chleb dla nienasyconego świata: węgiel, węgla, węglem, o węgiel... łopatami, wagonikami, windą, wagonami. Krzepkie chwytliwe ręce: uderzają piką, naciskają świder, wsuwają dynamit, duszą go gliną i smołą. Iskrzy się lont, od sklepień zwycięskim echem odbijają się wystrzały i znowu węgiel i znowu łopatą... Rżą gwizdami lokomotywy i syrenami okręty. Rosną wydobyte góry ciężkiej czerni. Wchłania, pochłania ją świat, spala, przetrawia na stal, na szybkość, ruch, pęd, na światło i ciepło.

Plądrujemy ziemię, wiercimy ją, przekopujemy — wgryzamy się — ogromne, bezlitosne krety — w jej wnętrzności.

Jest nieodwołalnie nasza. Nasza, to znaczy ludzka. Napociliśmy ją krwią w „latach mordu“, wlewaliśmy w gardła zadanych jej bombami ran naszą krew. Teraz niech napełni swoją krwią żyły świata, niech wyrzuca na powierzchnię czarny chleb ludzkiego trudu. Niech karmi, niech daje wodę i ogień, światło i ciepło. Naftę, metale, węgiel i chleb. Ziemia! Należy do tych, którzy ginęli na niej, którzy walczyli przeciw rosnącej zbrodni. Którzy ginęli pod gruzami, w okopach, w ataku rozwierającym źrenice przerażeniem i zachwytem własnego bohaterstwa. Którzy ginęli wplątani w elektryczne druty obozów. Których o świcie i w dzień, o zmierzchu i w nocy — najpodlej i chytrze uśmiercały bomby. Nasza jest ziemia.

My wznosimy na niej domy. Rzucamy ziarna na zbronowane pole, drążymy w niej tunele, my piszemy o niej z miłością i z nienawiścią. Objęliśmy ją, nie chcemy na niej umierać, chcemy na niej żyć. Niech słońce brązowi ciała, niech nie wysusza zwłok.

Tej żarliwej miłości — jak rozpaczliwej miłości do życia człowieka bez rąk i bez nóg nikt nie odkupi. Nikt nas od niej nie wybawi.

* * *

Idziemy dalej. Jest gorąco. Pot osiada na twarzy — wilgotny i ciepły. Dotykam lśniącej łuski ściany. To lśnienie wyczuwam dłonią.

Chybocą krążki światła padające z karbidowych lampek. Twarze zarastają pyłem, mrok wlepia je — wybałuszone i obce — w węgiel.

O węglu wiem już wszystko Chciałbym teraz mówić z ludźmi. Nie dziwi mnie najwęższe przejście, niski pułap, męczące pochylenie ciała lub ostrożne przylgnięcie do ściany. Domyślam się wszystkiego, przeżywam na zapas, nie obawiam się zaskoczeń.

Wanda idzie przede mną. Lekko — chociaż w ogromnych, niezgrabnych butach gumowych. Chlupocze woda w opuszczonym korytarzu, przesypuje się w rynnach węgiel, z cichym, charakterystycznym świstem wpada powietrze w ciemność i gaśnie w pyle, rozrzedza się, cichnie.

Patrzę na sylwetkę Wandy i z kształtu poruszeń wyczuwam, że jest zmęczona. W pierwszej godzinie pod ziemią. Właściwie pragnąłem tego. Żeby była zmęczona, osłabiona, żeby oddychała z wysiłkiem i żeby kroki były cięższe. Żeby tęskniła do światła i powietrza. Byłem bezlitosny, okrutny w tym pragnieniu. Ale w grę wchodziło jej nieporozumienie z Polską, konflikt, o którym już wspomniałem, którego nie umiem nikomu przebaczyć. Wanda musiała zrozumieć, że brak masła nie powoduje braku miłości. Że ten brak i wszystkie inne nie przerażą górników ani nas, którzy zjeżdżamy do nich z „podwójną lampką serca w najgłębsze sztolnie“ w wygasłe ogromne palenisko podziemnego pieca, w którym przyroda — piekarz milionletni wypiekła dla świata czarny chleb.

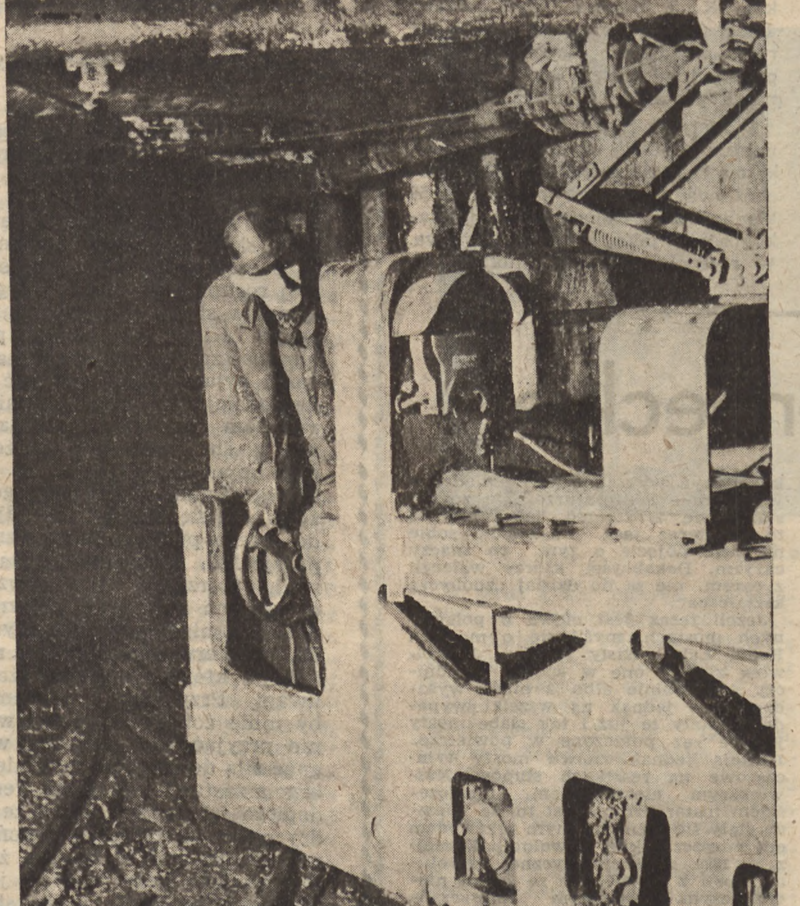

Podziemna kolejka elektryczna.

Fot. A. Bogusz CZPW

* * *

Irytuje mnie lęk ludzi przed cyframi. Opuszczają je, chcą nawet opuścić cyfry przy czytaniu tej prozy. Jak gdyby to były opisy przyrody!

Trzeba umieć dostrzec w cyfrach pochylony grzbiet górnika, huk wystrzału, wagony węgla.

W cyfrach pulsuje krew, cyfry pulsują w skroniach. Tłumaczy je wyobraźnia na obrazy.

Stan załogi w kopalni „Jadwiga“: 3570.

Pod ziemię w trzech zmianach zjeżdża 2478 górników:

Produkcja wzrasta:

Rok 1945 — wrzesień: 37503 t.
Rok 1946 — wrzesień: 104524 t.
Rok 1947 — wrzesień: 116703 t.

a powinno być: w ostatniej pozycji: 114400 ton.

Jest więcej.

Wzrastają normy dziennego wydobycia:

1945 rok — 1200 ton węgla
1946 rok — 3200 ton węgla
1947 rok — 4400 ton węgla.

Kopalnia „Jadwiga“ ma najwyższą normę. Szczyt 4400 ton ponad poziom ziemi. Wysoki, ale zdobyty. Norma jest przekroczona. 102%.

Dlaczego?

Dlatego, że:

— słuchaj, zmęczona i oszołomiona dziewczyno o czym mówi nadsztygar Stanisław Markowski. Widzisz dobrze jego szlachetną, mądrą twarz, ten człowiek kłamać nie umie. Jeżeli nie wierzyłaś gazetom, uwierz słowom i twarzy nadsztygara:

— „Napiszcie, że jesteśmy dumni z naszej kopalni, że kochamy ją. Że żyje dzięki nam. Nie prosiliście o to, ażebym mówił. Ale troszczę się o każde słowo powiedziane i napisane o nas. Kopalnię trzeba rozumieć. Trzeba ją chwalić i walczyć z nią i o nią. Pół roku walczyliśmy zaciekle z ogniem podziemnym, odgrzebywaliśmy chodniki. Ratowaliśmy ją, zapominając często o nas samych. Dzisiaj żyje.“

To nie jest gazeta, której nie rozumiesz. Ale — Wando — czujesz chyba wzruszenie w głosie nadsztygara, zapewne przeżywasz je sama. Tak matki mówią o dzieciach, tak wilczyce bronią jaskini ze szczeniętami. Słuchaj nadsztygara Markowskiego. Daj się zdobyć:

— „Przyjechaliśmy z kopalni „Jowisz“ w kwietniu 1945 roku. Grupa operacyjna złożona z 15 ludzi. Ferdyn, Kwoka, Łukasik, inni, ja.

Wydobywaliśmy 600 ton dziennie. Dzisiaj 4400. Zresztą przekraczamy tę normę. To są szczyty. Tyle nie było nawet przed wojną. Tyle nigdy nie wyciągnęli Niemcy. Dociągali najwyżej do 4300. Napiszcie o tym, że my pierwsi w Polsce. Że jesteśmy dumni z naszej pracy i z „Jadwigi“. O nic więcej nie prosimy. Tylko żeby o tym w gazecie. Dla wszystkich i dla nas.“

(Fakt: wykształcenie jest nieodzowne, ażeby pojąć sens pracy).

* * *

Docieramy do chodnika, w którym pracuje Thiel. Po drodze mijamy Pstrowskiego. Skończył pracę, wyjedzie za chwilę na powierzchnię. Wita się ze mną serdecznie. Znamy się, gawędziliśmy swego czasu przy piwie.

— Przyjedźcie jeszcze kiedyś do mnie. Zagośćcie, pogadamy.

— Dobra, Wincenty. A jak żona?

— Dobrze.

— A dzieciaki?

— Chowają się.

Podajemy sobie ręce. Brudne, mocne ręce.

Mówię do Wandy kilka słów o Pstrowskim. Pstrowski jest bardzo rozmowny i towarzyski.

Ale Thiel jest inny. Wysoki, twardy, małomówny. Wyrazista, mocno umięśniona twarz. Nie lubi wywiadów, rozgłosu. Lekceważąco macha ręką: — chcecie pisać o mnie? A po co?

Podchodzimy do niego. Wandzie brak powietrza. Oddycha z trudnością. Pod bluzą górniczą ma swetr, nie zdjęła go, chociaż ją o to prosiłem. Gorąco. Wiem, że chciałaby podać rękę Thielowi. Wystarczyło brnąć przez mrok kopalni, kilkaset metrów, ażeby nie patrzeć na górnika jak na okaz.

Thiel pracuje. Obok niego połnagi, szeroko rozrośnięty w ramionach chłopak o brutalnie ale harmonijnie rozwiniętej muskulaturze. Dźwiga lekko ogromne łopaty węgla. Przerzuca je umiejętnie na żelazną, wgiętą płytę rynny, drgającą w miarowych, kurczowych rzutach.

Wyciągam do Thiela rękę i mówię po prostu: „Serwus, Thiel“. Patrzy na mnie i powtarza: „Serwus“.

Nie chciałem mu przeszkadzać. Nie lubię. Chciałem stanąć na uboczu i patrzeć. Nienawidzę dyrektorów, którzy nie potrafią być dyrektorami, podziwiam gazeciarzy, którzy potrafią sprzedawać gazety.

Nie chciałem mu przeszkadzać, ale obawiałem się, że milcząc, przeszkodzę mu bardziej. Poczęstowałem go papierosem. Zapalił.

„— Chcecie pisać o mnie i kopalni „Jadwiga“? Nie trzeba. Ja mam w domu Jadwigę. Żona nazywa się Jadwiga“. I uśmiecha się.

— Przyjdę do Was po pracy, Thiel.

— Jak chcecie.

Ale tym razem jest dużo dobroci w jego uśmiechu. Może uśmiecha się z pobłażaniem dla „pisaniny“?

Thiel nie wie o tym, że nie ma większej męki nad mękę słów.

* * *

Dziennikarze powinni dać spokój górnikom. Pstrowski przyjmuje dziennie w swym podziemnym pałacu z czarnego lazuru kilka osób. To przeszkadza. Po rozmowie z kimś musi nadrabiać stracony czas. Kopalnię powinno się zwiedzać w milczeniu. Nie wolno odciągać górnika od węgla. Trzeba mieć cierpliwość — i wykorzystać moment, w którym odłoży łopatę.

Nie męczcie górników. Nie fotografujcie ich.

Pozwólcie im skończyć pracę. Odprowadźcie ich do domu. Odwiedźcie, jeżeli zaproszą. Niech przebiorą bieliznę, umyją się i zjedzą obiad.

— Nie pójdziesz dzisiaj do Thiela, mówi Wanda. Jest tak skomplikowany i prosty, że musisz mu poświęcić dużo czasu, ażeby go poznać, określić i odnaleźć w milczeniu.

Odszedł Thiel. W opustoszałym, cichym chodniku czekamy na inżyniera Michalika. Siadamy na przygotowanych dla naszego podkopu belkach. Jest chłodno, coraz chłodniej. Wanda siedzi oddalona o kilka kroków. Lampki stoją na ziemi. Widzę wyraźnie buty dwuch mężczyzn i buty kobiety. Nie widzę zupełnie twarzy. Chciałem podnieść lampkę i oświetlić twarz Wandy, zobaczyć linię ust Żeby tylko zmysłami poznawać głębię ziemi i głębię ludzi. Żeby innym razem rozumować na zimno.

Podbijanie stempli.

Fot. A. Bogusz CZPW

Leciutko, nerwowo trzaska płomyk karbidówki. Trzeba przekręcić kurek, doprowadzający wodę do karbidu. Nie pomaga. Szeleści uchodzące z podziemi powietrze. Szemrze, jak oddalony, przytłumiony górski strumień. Nie ma cieni na ścianach, nikną cienie ścian. Chciałem zobaczyć jej twarz. Powiedziałem: „Podejdziemy do głównego chodnika. Jest bardzo zmęczona. Stawia stopy ostrożnie i niepewnie, jak dziecko. Uczy się chodzić. Nie przyzna się do osłabienia. Ale przyzna się, że jest wstrząśnięta. (Tym, o czym pisałem i czego nie zdołałem przetworzyć na słowa). Słania się. Musimy wyjechać. Światła i powietrza. Czasu.

(Gdy liryka łamie kompozycję — pozostawmy lirykę wrażliwości: domysłom. Pożary liryczne są tak groźne dla prozy — jak pożary w chodniku dla kopalni. Musimy uciekać).

* * *

Inżynier Michalik tłumaczy: Wam potrzebna jest rewelacja, coś nowego. Macie ją: ogłaszamy współzawodnictwo na filarach. Pierwsi w Polsce ogłaszamy to hasło. Wzrosną zarobki, wzrośnie wydajność. Dotychczas współzawodnictwo istniało w chodnikach na tzw. przodkach. Zaczął Pstrowski. Pobił go Thiel. W pracy chodnikowej prowadzi teraz Alfons Thiel. 319%! Pstrowski jest drugi — 292%. (Ostatnio Pstrowski pobił swój rekord) Ścibik Paweł jest trzeci — 252%. Za nimi idą inni. Ambitni, zdolniejsi, lepsi walczą o rekord wydajności.

Metoda współzawodnictwa okazała się błogosławiona w skutkach. Wielokrotnie większe zarobki górników, wzrost produkcji ogólnej, z dwunastu oddziałów. Obecnie stwarzamy duże możliwości dla górników pracujących na filarach.

Rękawice współzawodnictwa podnoszą:

Burkowy Jerzy: 218%,
Miękała August: 188,2%,
Lichtblau Wojciech 183%.

Zgłaszają się inni. Trzeba to ogłaszać, podać dalej, pójść dalej.

Inżynier Michalik jest podniecony. Drżą mu lekko ręce. Muszę na to zwrócić uwagę. Potrzebujemy inżynierów przeżywających pracę.

* * *

Wanda przebiera się w ostatniej kabinie. Ta ściana, która nas odgradza, już nas nie odgradza. Nawet w przenośni.

Wanda zobaczy jeszcze huty, fabryki, szkoły, nowe miasta. Trzeba dotknąć, ażeby poznać.

Trzeba światłem rozszerzać źrenice. (Także słabym światłem kopalnianej żarówki.)

Żegnamy się wieczorem. Nie rozmawiamy o kopalni ani o tym, co pod ziemią. Wszystko dzieje się na nowo, zaczyna od początku.

Tę noc Wanda spędzi bezsennie.

Andrzej Wydrzyński.

AMELIA ŁĄCZYŃSKA

Nowe pola wykopaliskowe

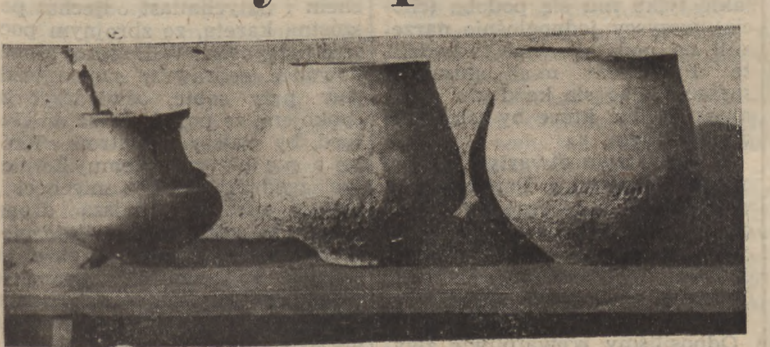

Typy form ceramicznych odkryte w Chłapowie.

Pomorze, kraje nadbałtyckie — to jedna wielka księga wiedzy o pradawnej przeszłości. Księga, której karty zapieczętowane, dopiero w części są przez archeologów odczytane. Niezmierzone i niewidziane jeszcze rozdziały tkwią pod powierzchnią ziemi. To, co zdołano z niej odczytać, rzuca rewelacyjne światło na zasięg kultury tzw. łużyckiej i na ścierającą się z nią, a spływającą z pochodem Gotów ze Skandynawii kulturę germańską. Tu na pobrzeżu zetknęły się, zmieszały ze sobą, a pierwiastki germańskie wsiąkły, pozostawiając ślady nawet po odpływie Gotów na południe i zachód.

Te, tak bardzo interesujące tereny oddziaływania na siebie dwóch odrębnych światów, muszą być teraz dokładnie zbadane.

Dwojakie są zabytki, przedstawiające wartość historyczną i naukową: cmentarzyska i groby pojedyncze, które po wyeksploatowaniu, pozostaną już bezwartościowymi dla nauki terenami i grodziska (wały), które powinny zostać zabezpieczone w obecnym kształcie, jako ostatni ślad zabytków budowlanych naszych praszczurów.

W województwie gdańskim pracuje obecnie delegat Muzeum Archeologicznego mgr J. Antoniewicz nad tworzeniem rezerwatów archeologicznych, obejmujących takie właśnie grodziska. Pierwszą czynnością po ustaleniu zabytku i dokonaniu pomiarów, będzie wyjęcie go spod własności prywatnej, czyli przeprowadzenie wywłaszczenia na rzecz Skarbu Państwa, celem uchronienia go od zniszczenia i eksploatacji rolniczej. Właściciel otrzyma w zastępstwie inny kawałek ziemi.

W ostatnich czasach dokonano kilku znacznych odkryć archeologicznych w województwie gdańskim, a mian.: w pow. kartuskim, w gromadzie Wąsiory, znaleziono kręgi kamienne typu sakralnego, podobne znaleziono w miejscowości Odry w pow. kościerskim. W pow. morskim, w gminie Chłapowo, odkryto ogromne cmentarzysko około 100 grobów, przynależnych do kultury grupy wielkowiejskiej ściśle związanej z kulturą łużycką. Groby: 1) skrzynkowe, 2) w obwarowaniu kamiennym, 3) jamowe, 4) kloszowe. A w grobach, oczywiście, urny, popielnice, przystawki i wielka ilość przedmiotów codziennego użytku i ozdób z brązu. Cmentarzysko zostało już odkopane i opracowane naukowo przez mgr. J. Antoniewicza.

Obok Gdyni, w Redłowie odkryto również cmentarzysko, zabezpieczono je na razie, a prace przy nim zaczną się na wiosnę. Poza tym znajduje się często szczerby urn i popielnic przy robotach ziemnych. Ostatnio znaleziono takie fragmenty w Gdyni.

Na terenie województwa znajduje się 18 grodzisk.

Amelia Łączyńska.

Co robią Niemcy

Kobieta z jabłkami – Subtelne rozróżnienia sądowe i mord czy zabójstwo – Uroki szubienic

Przed dziesięciu laty w Karlsruhe miało miejsce następujące zdarzenie. Opisał je emigracyjny pisarz Bertolt Brecht w formie takiego dialogu:

Do mieszkania starej kobiety, siedzącej przy stole ze swą córką, wchodzi dwóch SA-manów, przynosząc obu kobietom paczkę Pomocy zimowej.

I SA-man: Tak to, matko. To wam sam Führer posyła.

II SA-man: Aby pani nie mogła powiedzieć, że o was nie dba.

Stara kobieta: Serdecznie dziękuję, dziękuję serdecznie. Ziemniaki, Erno. I swetr wełniany. I jabłka.

I SA-man: No i list od Führera, zawierający coś... Niech-no pani otworzy.

Stara kobieta (otwiera list): Pięć marek, i cóż ty teraz na to, Erno?

II SA-man: Pomoc zimowa!

Stara kobieta: Musi pan koniecznie, młody człowieku, wziąć jedno jabłuszko, i pan też. Za to, żeście to przynieśli i dreptali tak wysoko po schodach. Nic więcej nie mam w domu. Ja sama sobie też jedno wezmę. (Nadgryza jedno jabłko. Wszyscy jedzą jabłka prócz młodej kobiety.)

Stara kobieta: Weź-no sobie także, Erna, nie stójże tak jak kołek. Widzisz teraz, że nie jest tak, jak mówi mój mąż.

I SA-man: Cóż on takiego mówi?

Młoda kobieta: Nic nie mówi. Stara tak sobie bredzi.

Stara kobieta: Ach wiecie, to tylko jego taka paplanina, nic złego, ot po prostu to co wszyscy mówią. Że ceny trochę poskoczyły (pokazuję jabłkiem na Ernę). A ona wyliczyła rzeczywiście na podstawie książeczki gospodarskiej, że w tym roku potrzebowała 123 marki więcej na jedzenie niż w ubiegłym. Prawda, Erna?

I SA-man: Gdzie pani ma swoją książeczkę, młoda kobieto?

II SA-man: I komu pani ją pokazuje?

Młoda kobieta: Jest w domu. Nie pokazuję jej nikomu.

Stara kobieta: Przecież nie weźmiecie jej za złe, że prowadzi tę książeczkę, co?

I SA-man: I że rozpuszcza panikarskie wiadomości, tego jej także nie mamy brać za złe, co?

II SA-man: I że zbyt głośno powiedziała Heil Hitler przy naszym wejściu, tego też nie słyszałem, co?

Stara kobieta: Ależ ona zawołała Heil Hitler, i ja wołam także! Heil Hitler!

II SA-man: No, to wdepnęliśmy ale w piękne gniazdko marksistów, Albert. Pójdzie pani z nami, do mieszkania po tę książeczkę, młoda kobieto!

Stara kobieta: Ale przecież ona jest w trzecim miesiącu... Przecież nie możecie jej zabrać... Przynieśliście paczkę i zjedliście jabłka. Erna! Ona przecież zawołała głośno Heil Hitler; mój Boże, co ja mam robić? Heil Hitler! Heil Hitler!

(wymiotuje jabłkami, SA-mani odprowadzają córkę)

Stara kobieta (dalej wymiotując): Heil Hitler!

Maleńkie to zdarzenie, kunsztownie zapisane przez wybitnego pisarza, drobny wycinek z życia w hitlerowskich Niemczech, warte jest przypomnienia dzisiaj, kiedy czyta się o denazyfikacji, o karach dla zbrodniarzy. A oto kilka takich wyroków, wyciągniętych z pism niemieckich. Każda z tych wiadomości u ludzi uczuciowych a zarazem nieco wykształconych, wywoła niewątpliwie pewne sentecyjki. Aby ten proceder dumania ułatwić, cytujemy po każdym wydarzeniu odpowiednią sentencję, która oby była wyrokiem na wyrok.

Tyle zostało z „niezwyciężonej“ armii niemieckiej. Czy tylko tyle? — pisze tygodnik niemiecki, zamieszczając powyższe zdjęcie.

Z początkiem listopada 1938 r. dwóch braci w Bremie jako „SA-Truppführer“ zastrzeliło Niemca narodowości żydowskiej. Wówczas za ten czyn spotkało ich ogólne poważanie i zaszczyty. Z początkiem maja br. stanęli przed sądem w tejże Bremie, gdzie skazano ich na 8 oraz 6 lat więzienia. Prokurator oskarżał ich o mord, sąd jednak uznał ich winnymi jedynie „zabójstwa“ (Totschlag), gdyż czyn „nie nastąpił z pobudek własnych“, ale na rozkaz „wyższych czynników“.

SENTENCJA: Ach, jak nienawidzę tych wszystkich barbarzyńców, wyobrażających sobie, iż są mądrzy, ponieważ nie posiadają serca. (Hölderlin „Hyperion“)

W Hamburgu toczył się proces między kilku jednostkami miejskimi o 15.000 metrów kwadratowych płyt żużlowych. Ostatecznie sąd zawyrokował, że płyty te otrzymać ma obóz dla internowanych przestępców wojennych dla uszczelnienia baraków na zimę. Tymczasem większość mieszkańców, mieszkająca w piwnicach, daremnie czeka od miesięcy na przydział materiałów uszczelniających owe prymitywne mieszkania przed zimnem.

SENTENCJA: Na pomniku dla poległych w uniwersytecie berlińskim znajduje się napis: „Invictis victi victuri!“, „Niezwyciężonym zwyciężeni, zwycięzcy przyszłości!“. Na francuskim pomniku ku czci poległych niedaleko wzgórza loretańskiego czytamy napis: „Peuples, soyez unis; hommes, soyes humains!“, „Narody, jednoczcie się; ludzie, bądźcie ludzcy!“

15 kwietnia gmina żydowska zażądała zwrotu zrabowanego przez hitlerowców domu, przeznaczonego na dom kultury. Nadto wielu jeszcze prześladowanych z powodów rasowych nie posiada własnego mieszkania i tu mogłoby uzyskać schronienie. Po dwóch miesiącach w sprawie tej wypadł wyrok następujący: Gmina domu nie może odzyskać z powrotem, gdyż w roku 1942 przejęty został „zgodnie z prawem“ przez miasto Berlin.

SENTENCJA: Gdy patrzysz na mnie, nikną wszystkie moje plany i nadzieje... Wojna jest prawdziwą przyjemnością w porównaniu z tym, co nas teraz czeka: próba stworzenia świata pokoju — z tobą w jego środku!

Mr Antrobus do swego syna (Kaina) w sztuce Thorntona Wildera „Raz jeszcze uratowaliśmy się“.

Bili nas tak, że ciało nasze na plecach całe było w strzępach — rzekł świadek na rozprawie przeciwko trzem byłym SA-manom w Itzehoe. SA-mani bili podczas rewizji za bronią, zaś do katowania używali specjalnych biczów ze skóry hipopotama. (Na to przydał się Niemcom Hagenbeck, słynny łowca i handlarz fauną afrykańską.) Wszystko to wyszło na jaw w procesie, w którym, choć udowodniono SA-manom zbrodnię przeciw ludzkości, kara jednego roku więzienia nie wydała się sądowi za niska.

SENTENCJA: Granice poznania zbrodni nie są tak wąskie, by usprawiedliwić można było życzliwość sędziów dla zbrodniarzy. Czy możemy mówić o sercu poruszającym sędziego? Nie, raczej o braku kwalifikacji rozumowych, których nie zastąpi żadne choćby najlepsze prawo. (Wolter).

To są drobne jedynie próbki, maleńka rewia pomyłek sądowych, które pomyłkami być nie mogą po tylu straszliwych latach. Wiara w prawo, zachwiana tak bardzo w Niemczech wczorajszych, nie wykazuje tendencji ożywczych, tak samo pozwala się deptać. Lektura kronik lokalnych prasy codziennej niemieckiej dostarcza co dzień wiele ciekawego materiału z tego zakresu, przyczynki do poznania Niemców i do sposobów ich wychowywania. Trudno jest wychować naród, o którym zresztą już sto lat temu opowiedział Nestroy, dziś, w Austrii szczególnie, czczony i czytywany na nowo, następującą rozmówkę:

Pierwszy: Tam rozstrzeliwują kogoś na dole, chciałem popatrzeć ale pęka mi serce.

Drugi: Moje nerwy nie znoszą strzałów, nie chodzę także do teatru, jeśli na scenie dochodzi do strzelaniny.

Trzeci: Ze mną dzieje się zupełnie to samo, dlatego chętniej przyglądam się wieszaniu.

Pierwszy: I ja.

Drugi: Oczywiście. Wieszają zwykle cicho i bezszelestnie, nie ma dymu, ani krwi. A to jest przyjemne.

WISZ.

Kronika kulturalna czesko-polska

● Syndykat Pisarzy Czeskich opracował przy pomocy komisji złożonej z krytyków literackich listę klasyków literatury czeskiej, których dzieła zalecone są do przekładów na język polski. Na liście tej znajdują się m. in. nazwiska następujących pisarzy: Nemcová, Neruda, Svetlá, Arbes, Zeyer, Holećek, Rais, Herben, Čapek-Chod, Jirásek, Herrmann, Dyk, Sova, Salda, Mahen, Srámek i wielu innych.

● Dzięki wizytom dwóch pisarzy czeskich w Katowicach, Milana Rusińského i Drahoslava Gawreckiego nawiązana została bliższa współpraca katowickiego środowiska literackiego ze środowiskiem Morawskiej Ostrawy. W listopadzie br. przybędą do Katowic z wieczorem autorskim: Rusinsky, Gawrecki i Franciszek Smeja. W tym samym miesiącu do Morawskiej Ostrawy mają się udać z Katowic Wilhelm Szewczyk, Jan Brzoza, Aleksander Baumgardten.

● W najbliższym czasie ukażą się następujące przekłady polskie powieści czeskich: Marii Pujmanovej „Ludzie na rozdrożu“ (Sp. Wyd. Wiedza) i „Przeczucie“, Wacława Rzezacza „Granica“ i „Czarne światło“ (Sp. Wyd. Czytelnik), A. C. Nora „Twarz pełna światła“ i „Żyję życiem brata“ (Sp. Wyd. Czytelnik), „Bürkental“ (Wyd. Awir) oraz „Przyszedł dzień“ (Sp. Wyd. Książka), K. J. Benesa „Zaczarowany dom“ (Wyd. Awir). Oczekuje się również dawno zapowiedzianego przekładu Juliusza Fucika książki pt. „Reportaż spod stryczka“.

● Instytut Śląski w Katowicach publikuje serię swoich „komunikatów“ poświęconych sprawom Czechosłowacji. Seria ta obejmie 50 komunikatów i ukaże się po jej zakończeniu jako książka zbiorowa. W styczniu 1948 roku ukaże się specjalny zeszyt kwartalnika Instytutu Śląskiego „Zaranie Śląskie“ poświęcony pisarzom czeskiego Śląska..

● Rezultatem podróży pisarzy czeskich do Polski, odbytej w maju i czerwcu br., będą dwie książki. Piszą je Maria Pujmanowá i A. C. Nor. Warto zaznaczyć, że literatura tego typu jak listy i felietony z podróży jest w Czechosłowacji bardzo poczytna i już przed wojną ukazywało się tam wiele książek tego rodzaju. (ki)

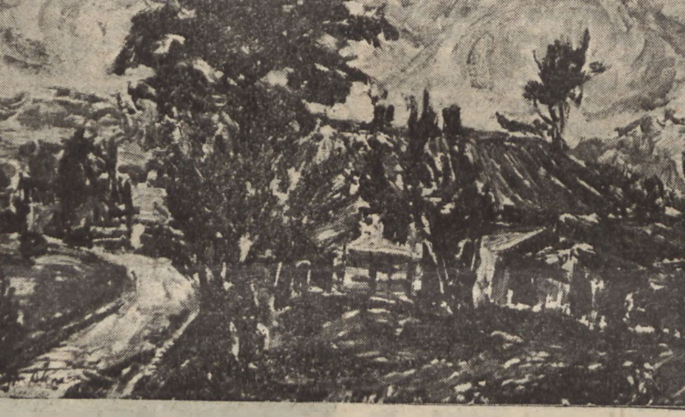

Jan Dutkiewicz: Pejzaż z okolic Kudowy (olej)

ALEKSANDER ROGALSKI

Grzechy

Protestantyzm wobec hitleryzmu

SUMARYCZNIE biorąc konto protestantyzmu w odniesieniu do hitleryzmu zdaje się być obciążone jeszcze większymi grzechami, aniżeli konto katolicyzmu.

Jeśli bowiem postawa katolicyzmu wobec reżimu od momentu umocnienia się jego władzy i realizowania całości jego programu była negatywna i to negatywna jednolicie (rozbieżność i niejednolitość przejawiały się w taktyce, w środkach walki), to protestantyzm w dużym swym odłamie zachowywał bierność, a nawet uległość wobec hitleryzmu bodaj do samego końca. Bądź co bądź katolicyzm niemiecki nie splamił się tak hańbiącym czynem, jakim była tzw. Deutsche Staatskirche, państwowy kościół protestancki, który stanowił aglomerat idei pseudo-chrześcijańskich z nauką Rosenberga i służył całkowicie za narzędzie Hitlera do opanowania przezeń społeczeństwa niemieckiego. Głową tego „kościoła“ był biskup Ludwig Müller, który swą „sakrę“ otrzymał był z rąk „Fuehrera“.

Zaznaczyć również należy ,że w masach protestanckich znalazł Hitler bez porównania więcej i do tego gorliwszych zwolenników, aniżeli w masach katolickich.

Przyczyny tego były wielorakie.

Przede wszystkim już od czasów Reformacji kościół protestancki w Niemczech odznaczał się we wybitnym stopniu charakterem nacjonalistycznym. Niektórzy, uczeni określają w ogóle Reformację jako „rebelię ducha germańskiego przeciwko Rzymowi“. Ponieważ i ruch narodowo-socjalistyczny, zwłaszcza w pismach Rosenberga, akcentował swą zdecydowaną wrogość wobec Rzymu, istniało przeto między protestantyzmem a hitleryzmem dużo naturalnych powiązań.

By podeprzeć ten sąd konkretniejszymi dowodami, sięgniemy do wydanej świeżo w Norymberdze przez Związek Niemieckich Duchownych Ewangelickich, a opracowanej przez radcę kościelnego Fritza Klinglera „białej księgi“ pt. „Dokumente zum Abwehrkampf der deutschen evangelischen Pfarrerschaft gegen Verfolgung und Bedrückung 1933—1945“. Najwartościowszym i najbardziej charakterystycznym dokumentem opublikowanym w tej książce jest zeznanie pastora Weplera napisane w areszcie policyjnym w Kassel w dniu 1. 5. 1943 pt. „Duchowny ewangelicki i jego stosunek do narodu i państwa“. Pastor Wepler referatowi swojemu (Bericht) który prosi przesłać do gestapo w Berlinie, wyznacza za cel „przyczynienie się do przywrócenia stosunku wzajemnego zaufania między rządem a duchowieństwem“. Próbuje to uczynić polemizując ze stanowiskiem rządu i partii, jakoby duchowieństwo niemieckie było wrogiem politycznym dążeniom Niemiec. Komunikuje więc, że „jak długo NSDAP walczyła o władzę, tak długo był dla niej ewangelicki duchowny miłym współbojownikiem w szeregach jej towarzyszy“. W tym czasie „ewangeliccy pastorowie całkiem słusznie darzyli partię pełnym zaufaniem“. Zmieniło się to dopiero, gdy w latach 1934—1935 rozgorzała walka z kościołami, sięgająca dziedzin czysto religijnych. W walce tej partia posługiwała się m. in. zarzutem, jakoby duchowieństwo niemieckie w wojnie światowej zachowywało się całkowicie biernie, a przetoż stanowiło dla narodu tylko szkodliwy balast. Zarzut ten, stwierdza pastor Wepler, uznało ono za wysoce obraźliwy „dla swego męskiego, niemieckiego honoru (deutsche Mannesehre)“. Dokładne badania wykazały, że na wojnie poległo 36,2% teologów powołanych do wojska, nieco tylko wyższe straty poniósł oficerski korpus piechoty, bo 37%, straty zaś innych zawodów akademickich pozostają daleko w tyle. Najlepsze potwierdzenie swojej „czci męskiej“ znalazł niemiecki stan duchowny w tej wojnie: „Ciężkie straty, jakie składa dom pastorski, wysokie i najwyższe odznaczenia, jakie przyznano pastorom i ich synom powiększą księgę honoru pastorstwa o nową kartę sławy. Duchowny ewangelicki pozostanie wierny swej starej tradycji. Jako mężowie niemieccy pełnimy swój obowiązek, nie dajemy się prześcignąć przez żaden zawód ni stan we wierności i miłości dla ojczyzny“.

Pastor Wepler wspomina też o tym, że „ewangeliccy duchowni w Austrii pełni byli radosnego oczekiwania przed jej wcieleniem do starej Rzeszy“. Że wysoki procent synów pastorskich wybierał zawód oficera, że od dawna synowie pastorów szli albo na oficerów, albo na teologów.

Jest całkowicie jasne, że zeznania pastora Weplera, które w opinii naczelnych władz Kościoła ewangelickiego w Niemczech stanowią pierwszej wagi dokument heroicznej walki tego Kościoła z hitleryzmem, demaskują w sposób wyjątkowy domy pastorskie, jako ogniska zła, którego największym wcieleniem stał się właśnie hitleryzm, mianowicie jako ogniska militaryzmu.

Niemałej wagi przyczynek do niego dorzucają „dokumenty“ ewangelickie, stwierdzając pod datę 7 września 1941: „Liczbę ewangelickich duchownych odbywających służbę wojenną szacuje się na kilka tysięcy. 1700 z nich odznaczonych zostało żelaznymi krzyżami. Ta wysoka liczba odznaczeń wojennych nadanych duchownym obu wyznań (katolikom 350) świadczy o ich bezwzględnym zdecydowaniu wypełnienia w tej wojnie obowiązku narodowego“. (str. 91).

Trzeba tu zaznaczyć, że wielką wymowę posiada nie tylko liczba odznaczeń nadanych duchowieństwu niemieckiemu, ale również tytuł i okoliczności, w jakich odznaczenia te nastąpiły. Otóż nadano je po walkach w Jugosławii i w Grecji oraz w pierwszym etapie wojny z Rosją, a więc po kampaniach, które prowadzili Niemcy z największą dzikością, bezwzględnością i okrucieństwem!

Obok militaryzmu na postawę duchowieństwa ewangelickiego wpłynął w bardzo dużym stopniu silny jego związek z klasami konserwatywnymi, z reakcją społeczną, z biurokracją państwową. Kler ewangelicki stanowił właściwie armię urzędników od „światopoglądu“, będącą na żołdzie państwa i za każdym razem modlącą się z pogwałceniem przykazania: „Nie zabijaj“ o zwycięstwa dla oręża niemieckiego. Stwierdza to dowodnie wybitny niemiecki teolog protestancki, Ernst Tillich na łamach „Das Sozialistische Jahrhundert“ (luty 1947). „Związek Kościołów w Niemczech z klasami konserwatywnymi, pisze Tillich, uderzał w każdego obserwatora. Wprawdzie duchowieństwo nie było osobnym na konstytucji opartym stanem jak szlachta czy mieszczaństwo, to jednak bez wątpienia plebania stanowiła ognisko i jednego z największych orędowników wykształconego mieszczaństwa — w dobrym jak i w złym... Stare hasło o „tronie i ołtarzu“... posiadało swoją wagę. Fatalny rozwój ewangelickiej konstytucji kościelnej, która od czasów Reformacji jako władzę nad „Kościołami krajowymi“ postawiła w miejsce dawniejszych krajowych biskupów — świeckich książąt i ich zwierzchność, wywierała nieszczę-

---

Przegląd prasy niemieckiej

die Aussprache

Berlin, str. sow.

Niemcom zawsze było trudno przerzucać mosty do innych narodów. Mało nam pomoże wyliczanie przyczyn historycznych. Dziedzictwo dziejów, ten niewidoczny ciężar, który każdy człowiek — choćby wolny był od wszelkich ciężarów — musi nosić na swych barkach, ograniczyło jego osobiste życzenia i wolę. Hitler nie byłby mógł napiętnować Francji jako wiecznego i odwiecznego wroga na zachodzie, gdyby dla swoich kłamstw nie był znalazł podłoża, a tym podłożem była obcość i bezgraniczny brak zrozumienia. Nieumiejętność zbliżenia się do romantycznego człowieka była uwarunkowana przez odmienny rozwój obu narodów, wszystko jedno, jakie osobiste względy, jakie rozczarowania albo nieporozumienia zechciałby człowiek jako jednostka przytoczyć.

Niemcy miały już od wczesnego średniowiecza zasadniczo odmienny bieg swej historii. Popadły one przez swą pretensję do stania się tak zwanym Świętym Rzymskim Państwem Niemieckiego Narodu w zależność od papieża, zależność, która wiele stuleci później spowodowała tragiczny kompromis „Canossę“. Był to tylko wstęp do całego szeregu historycznych kompromisów, których winę w małym tylko stopniu mogła ponosić jednostka; jednakże w połączeniu dały one ciężar dziedzictwa, który potem spoczął na barkach całego narodu. W tych wiekach mogła Francja, politycznie oddzielona od papiestwa, lecz nie oddzielona od kościoła, sterować do swego punktu centralnego. Można to śledzić aż do naszych czasów: Francja znajdywała zawsze inne rozwiązanie niż Niemcy. Stała ona zawsze na innym stopniu rozwoju tak że pojedynczy członkowie dwu narodów musieli uzyskać różne aspekty. W kraju z którego teraz przychodzą, pytano mnie naiwnie, jak to było możliwe, że wielki Goethe ciągnął do Weimaru ze swym księciem weimarskim, w koalicji małych książąt, przeciwko Francuskiej Armii Rewolucyjnej. Lessing, jeden z naszych najszczerszych i najmędrszych niemieckich poetów, był — jakby to powiedzieć — przez pomyłkę antyfrancuski. Kłócił się do upadłego z Voltairem, gościem Fryderyka Wielkiego. A spór ten stał się typowym przykładem w niemieckiej historii literatury. Jakkolwiek obaj stosownie do swej natury powinni byli należeć razem. Albowiem Voltaire był prekursorem Francuskiej Rewolucji. A dzieło życia Lessinga zasadzało się na tym ażeby z usposobień Niemców wytrzebić feudalizm. Po wojnie trzydziestoletniej były Niemcy pokawałkowane i słabe i nastawione na naśladownictwo wszelkich nowości zagranicy, tak że Lessing musiał nienawidzieć klasycyzmu akademii i mód francuskich, a przy tym nie mógł widzieć tego, co Voltaire wyraził w swoim życiu: że francuski absolutyzm, jak powiedział Marx, wyświadczył Wielkiej Rewolucji dobrą przysługę, albowiem położył zawczasu kres małym państewkom i feudalizmowi. Oto jest przykład na dwóch pojedynczych wielkich mężach, dlaczego zawaliły się konieczne mosty. Można to zaobserwować aż do najnowszej epoki, ponieważ ostatnia generacja przeżyła trzy wojny między tymi sąsiedzkimi narodami. Teraz zależy od nas, czy z doświadczeń tych wyciągniemy jakieś wnioski pożyteczne, przy czym musimy najpierw poznać jasno przyczyny, a nie mydlić sobie oczu. Jest naszą rzeczą abyśmy na każdym poszczególnym spośród nas wykazali, że nie chcielibyśmy nigdy być napastnikami i nigdy nimi nie będziemy.

Wielka rosyjska literatura weszła może jeszcze głębiej w jeszcze szersze warstwy narodu, aniżeli francuska. Była ona tak ludzka, stworzyła ona tak potężne obrazy wewnętrznego i zewnętrznego ruskiego człowieka, że wtłoczyła ona w swój kształt — jak w sieć — nawet tych, którzy w zasadzie sprzeciwiali się tym treściom, tyle tylko, że tkwili w tych oślepiających, śmiałych formach. Tak zatem zostali porwani, musieli się przynajmniej częściowo treściami tymi zająć. Jak długo czytali, tkwili w tej samej sieci. Czy jednak broniliśmy tego, cośmy posiedli, a czym literatura rosyjska od Puszkina do Gorkiego stała się w zdumiewającej mierze? Obawiam się, że nie. Płomienie, które na stosie 10 maja 1933 r. także te książki spaliły, poparzyły mocno nasze rozumy i wspomnienia. W przeciwnym razie nie bylibyśmy mogli zapomnieć, jak „Matka“ Gorkiego z nieświadomej, biednej kobiety staje się nosicielką chorągwi. Kto by tam był w minionych latach pamiętał, jak blask i potęga rozpryskały się pod srożącymi się uderzeniami rosyjskiego narodu jak w „Wojnie i pokoju“ Tołstoja? Kto zachował w pamięci, że „Wina i kara“ jeszcze co innego daje, nie tylko napiętą akcję? Wzgarda nadczłowieka, głębokie poznanie biednego dziewczęcia: człowiek nie jest przecież wszą.

Przerzucać duchowe mosty do jakiegoś innego narodu nie znaczy tylko zdobyć wykształcenie i wiedzę o jego sztuce i literaturze, ale znaczy starać się zrozumieć, jak stało się to, co teraz jest. Pozwolono sobie narzucić pojęcie o tym, co znaczy caryzm. Dekabryści, którzy walczyli z carem, nie są do dzisiaj „zdobyczą kształcącą“.

Jeżeli teraz jest mowa o połamanych mostach, myśli się o mostach Renu, Łaby, Wisły i Odry. Jakkolwiek zostały one w sposób zbrodniczy samowolnie albo z musu wysadzone, to jednak na wszelki wypadek zostały te już i tak słabe mosty jeszcze raz puszczone w powietrze. Istnieją jednak znowu mosty tymczasowe na resztkach słupów. Największym nieszczęściem, nieszczęściem historycznym jest to, że Niemcy stały się nienaturalnym przewodem od mieszczańskiej rewolucji Francji z r. 1899 do socjalistycznej rewolucji Rosji z r. 1917, ale ze swym niewolniczym, zależnym mieszczaństwem kłodą w czasokresie, nie mostem, ale zaporą.

Tak wyglądają warunki historyczne. Warunki ludzkie, warunki bytu, jak również można tłumaczyć wyrażenie francuskie (conditions humaines) były przez jednostkę często i skutecznie przełamywane. Tu istnieją mosty od egzystencji do egzystencji. Trzeba by mosty narodowe zrównać z indywidualnymi, które niekiedy pochodzą z lepszego instynktu. Nie zapomnę nigdy nadzwyczajnego przeżycia pewnego młodego poety murzyńskiego, Jacques Roumin z wyspy Haiti, który po niemiecku mówi tak dobrze jak ja, ponieważ przypadkowo został wychowany w Szwajcarii. Jako chłopiec przybył on kiedyś do pewnej niemieckiej wsi. Wieśniacy patrzyli na niego jako na murzyna zmieszani i bezduszni. Wtedy zaczął on ku ich zdumieniu śpiewać niemieckie piosenki ludowe. Wieśniacy usiedli koło niego i śpiewali razem z nim, prosili go sami o to, ażeby śpiewał pieśni swojej wyspy. A on śpiewał i tańczył w tej wsi nad Menem. To, co zaczęło się zgrozą, skończyło się wspólną radością. Złamany, tak, ten nigdy nie osiągnięty pomost został mimowolnie i trwale rzucony. Albowiem każdego obcego, który gdziekolwiek w obcym kraju ukaże się, z łatwością bierze się za symbol jego całego narodu. Chłopiec, który śpiewał niemieckie i murzyńskie piosenki, zniweczył wszystko, co sobie okoliczni wieśniacy wyobrażali na temat nieznanej rasy. Jeżeli spróbujemy pojąć istotę innych narodów, wtedy one także spróbują pojąć naszą. Wtedy nie wezmą one już więcej jednostki za symbol hitlerowskiego faszyzmu. A każdy naród składa się z niezliczonej ilości jednostek. Im więcej jednostek doprowadza do zaniku zrozumiałej nieufności, tym szybciej zanika nieufność względem danego narodu.

(Anna Seghers: „Kulturelle Brücken zu anderen Völkern“)

DAPHNE DU MAURIER

Generał Jego

III)

Nie zamierzam teraz, po tylu latach rozpamiętywać raz jeszcze cielesnych i duchowych cierpień, którym ulegałem w ciągu paru pierwszych miesięcy, kiedy wydawało mi się, że życie się dla mnie skończyło. Dość wspomnieć, że początkowo obawiano się o mój rozum, i przez wiele tygodni żyłam w stanie zupełnego zamroczenia. Kiedy pomaleńku przytomność zaczęła powracać na nowo, i byłam zdolna ogarnąć całą beznadziejność mego istnienia, zaczęłam wzywać Ryszarda. A wtedy się dowiedziałam, że po daremnym oczekiwaniu na jakikolwiek znak powracającego mi życia, dał się nakłonić do odjazdu do swego pułku. Zanim znowu przyjechał, zdobyłam się na siłę woli, potrzebną do powzięcia decyzji na przyszłość. Brzmiała ona: Już nigdy nie ujrzę Ryszarda. Najpierw napisałam do niego list, na który nie zwrócił żadnej uwagi. Przyjechał natychmiast, by mnie zobaczyć. Postanowiłam nie przyjąć go. Usiłował wtargnąć siłą do mego pokoju, ale moi bracia zastąpili mu drogę. Jednak dopiero wtedy zrozumiał, że między nami wszystko jest skończone, gdy usłyszał od lekarzy, że jego obecność może wpłynąć jedynie na pogorszenie mego stanu. W listopadzie tego samego roku ożenił się z Lady Howard z Fitzford, bogatą wdową, zamężną już przed tym trzy razy i o cztery lata od niego starszą.

Ja zaś tymczasem musiałam się wyćwiczyć w nowym trybie życia, i przyzwyczaić się do codziennej nieruchomości. Ze strony całej rodziny spotykała mnie najwyższa dobroć i czułość. Siostry moje i ich dzieci, początkowo pełne łez i litości nade mną, po pewnym czasie jakoś się oswoiły i oto pomaleńku ja, która dawniej byłam tylko popsutą pieszczochą, stałam się doradcą i pośrednikiem w ich sprawach. Przynosiły mi do rozwikłania wszystkie swoje troski i kłopoty. Matty moja mała służebna, od pierwszej chwili stała się moją niezmordowaną niewolnicą i pomocnicą. Ona to właśnie spełniała każde moje życzenie, karmiła mnie i myła, chociaż po niedługim czasie nauczyłam się robić to sama. A po trzech, zdaje się, latach, plecy tak mi się wzmocniły, że mogłam już siedzieć prosto i nawet wykonywać ruchy tułowiem. Nogi jednak pozostawały bezwładne.

"Robin, mój kochany, dobry Robin najwytrwalszy mój towarzysz, pierwszy pomyślał o tym, by mi zrobić fotel, a ten fotel, który miał mi umożliwić poruszanie się po mieszkaniu, był jego najcenniejszym wynalazkiem. Wprowadził on doniosłą zmianę w moje życie codzienne; tego lata mogłam sobie pozwolić nawet na wypady do ogrodu. Posuwałam się sama na niezbyt wielkiej przestrzeni koło domu, zdobywając sobie w ten sposób poczucie niejakiej samodzielności.

W roku 1632 obchodziliśmy jeszcze jedno wesele w rodzinie. Moja siostra Maria przyjęła oświadczyny Jonatana Rasleigh z Menabilly, który stracił był pierwszą żonę w połogu i został sam jeden, by dźwigać ciężar powiększającej się rodziny. Wesele odbyło się w Lanrest, a wraz z ojcem na ślub przyjechały także dzieci Jonatana, Alicji i Janek, z którym później miałam się zżyć tak blisko.

Na ślub ten przybył także Bevil Grenvile, serdeczny przyjaciel i Jonatana i nas wszystkich. A kiedy już uroczysości dobiegały końca i Maria odjechała do swego nowego domu, zdarzyła mi się sposobność porozmawiania z nim na osobności. Przez chwilę mówiliśmy o jego dzieciach, a potem spytałam go o Ryszarda.

— Nie chciałem był o tym rozmawiać — powiedział po chwili — Ale skoro sama mnie pytasz — to bardzo się zmienił na niekorzyść, Honorato, od swego ślubu.

Jakaś szatańska satysfakcja obudziła się we mnie i nie mogłam jej zdławić.

— Jakże to? — spytałam — Czyż nie urodził mu się syn?

— Owszem — odparł — Ma syna. Ale kłócił się z żoną, traktował ją w sposób grubiański, ona twierdzi, że nawet podnosił na nią rękę. Wniosła teraz skargę rozwodową przeciwko niemu...

Pięć, dziesięć, piętnaście lat... Znaczny to wycinek życia kobiety; mężczyzny też, jeśli o to chodzi. Byłam dziewczyną, i to niesforną, buntowniczą na dodatek, wtedy, gdy zostałam kaleką. A w roku 1642, roku wybuchu wojny, która miała zakłócić całą naszą egzystencję, byłam kobietą 32 letnią. Byłam „dobrą ciocią Honoratą“ dla swych licznych siostrzeńców i siostrzenic, a dla całej rodziny postacią nie pozbawioną znaczenia.

Konflikt dojrzewał już od dłuższego czasu. My, ludność Kornwalii, mieliśmy co do tych spraw zdania mocno podzielone; jedni utrzymywali, że król miał prawo wydawać takie rozporządzenia, jakie tylko mu się podoba (chociaż wszyscy jednogłośnie narzekali na podatki), inni twierdzili, że Parlament miał słuszność, sprzeciwiając się każdemu posunięciu Króla, które by pachniało despotyzmem.

W pierwszym otwartym starciu między Królem, a Parlamentem, w 1642 roku, moi bracia Jo i Robin i większość naszych przyjaciół z Jonatanem Rasleigh, Arundell'ami i oczywiście Bevil'em Grenvile, oświadczyli się za Królem.

Odnosiliśmy niewątpliwie zwycięstwa na Zachodzie, aż po Bristol, a nasi Kornwalijczycy okrywali się chwałą, tym niemniej ginął tam kwiat mężczyzn Kornwalii.

Najgorsze ze wszystkiego, w każdym razie dla nas, było to, że Bevil Grenvile poległ pod Landstowne. Matty przybiegła do mego pokoju z twarzą zalaną łzami.

— Zabili Sir Bevila! — wyszlochała.

Odczułam to tak, jakby Bevil był moim bratem, byłam jednak zbyt oszołomiona tą wieścią, by móc po nim płakać.

— Opowiadają — mówiła Matty, — że ubili go właśnie wtedy, kiedy on i jego żołnierze już wygrywali bitwę i nieprzyjaciel był w rozsypce. A duży Tony Paine, jego sługa, wsadził wtedy małego panicza Jakuba na konia jego ojca i żołnierze poszli za chłopcem i walczyli, jak szaleni z wściekłości i żalu po zabitym panu.

Tak więc, na pozór triumfując, a od wewnątrz krwawiąc, my rojaliści śledziliśmy, jak rok zbliża się ku końcowi. Gdy zaczął się rok 1644, ten fatalny dla Kornwalii rok, Król miał cały Zachód w swym ręku, ale wielkie i potężne wojska Parlamentu w dużej sile zbierały się gdzie indziej, ciągle jeszcze nie naruszone.

Z wiosną tegoż roku pewien szlachcic, powracający z Irlandii, przybył do Londynu by odebrać zapłatę za swą służbę wojskową. Przy tej okazji dał do zrozumienia panom z Parlamentu, że w zamian za wyrównanie należnego mu żołdu przyłączy się do ich wojsk; oni zaś, uradowani, że pozyskali tak dzielnego wojownika, ofiarowali mu 600 funtów i odkryli przed nim plany wiosennej kampanii. Skłonił się im z uśmiechem i natychmiast odjechał poszóstną karetą, ze zbrojnym pocztem przy boku. W Bagshot Heath dowódca, zebrawszy swych jeźdźców przy sobie, oświadczył ze spokojem, że pojadą teraz do Oxford, by walczyć po stronie Króla, a nie przeciw niemu. Żołnierze zgodzili się bez niechęci i poczet ruszył w dalszą drogę, wioząc ze sobą znaczną ilość pieniędzy, broni, i sztab srebra ze skarbca Parlamentu, a ponad to wszystkie szczegóły sekretnego planu wojennego, który właśnie opracowano w Londynie.

Nazwisko tego rycerza, który wyprowadził w pole Parlament w sposób tak bezczelny, brzmiało — Ryszard Grenvile.

* * *

Pewnego dnia pod koniec kwietnia 1644, przyjechał do mnie Robin z Radford i nalegał, bym opuściła Lanrest i zamieszkała przynajmniej na razie, z siostrą Marią w Menabilly. Robin awansował na pułkownika i brał udział w przewlekłym oblężeniu miasta Plymouth, które wciąż jeszcze trwało przy Parlamencie.

— Jo i ja, obaj jesteśmy zdania, że dopóki jest wojna nie powinnaś tu mieszkać sama — rzekł Robin. Dla żadnej kobiety nie było by to wskazane, a cóż dopiero dla kogoś, kto jest tak bezbronny, jak ty.

Byłam odmiennego zdania, ale widząc jego niepokój, nie oponowałam. Zatem nim minął tydzień spakowano me nieliczne rzeczy, dom został zamknięty, a mnie samą zaniesiono w lektyce do Meanabilly.

Maria stała na progu, by mnie powitać, a z nią razem także Alicja, jej pasierbica.

Zabrały mnie do hallu, wyłożonego ciemną boazerią i wyniosły mnie na górę po szerokich schodach, a potem ciemnym korytarzem do zachodniego skrzydła domu. Mój pokój od pierwszej chwili spodobał mi się ogromnie. Z dwóch przeciwległych stron miał okna, przy czym z zachodniego było widać zewnętrzny dziedziniec poprzez łuk bramy, a dalej park, leżący poza nim. Wschodnie okno wychodziło

główne

Część II

sny wpływ na kształtowanie się konsystoriów". Ale również Kościół katolicki w Niemczech wykazywał charakter feudalny swego kleru i patriarchalną budowę swej instytucji. Uprawiał on własną politykę w duchu przedkapitalistycznego ustroju stanowego, odpowiadającego jego własnym, bynajmniej nie małym posiadłościom. Obok gospodarczej, posiadały Kościoły poważną pozycję polityczną jako korporacje prawa publicznego stanowiąc decydujące potęgi ustroju społecznego. Państwo, rodzina i zawód, porządek, urząd i posłuszeństwo były to te czynniki, które stanowiły z woli Kościoła o podstawie i treści życia każdego Niemca.

Wywody swoje w tym względzie zamyka Ernst Tillich następującą konkluzją: „Oblicze Kościołów aż do najświeższych czasów było z punktu widzenia gospodarczego, socjalnego, politycznego i teologicznego obliczem instytucji konserwatywnej. Wskutek walki toczonej z narodowym socjalizmem bynajmniej się to nie zmieniło, lecz przeciwnie — ugruntowało".

Duże znaczenie dla interesującego nas tu problemu posiada czynnik natury ściśle wewnętrznej. Protestantyzm niemiecki charakteryzuje dwoistość moralna, wyrażająca się w istnieniu obok siebie dwóch sfer: sfery życia osobistego, poddanej nawet surowym rygorom moralnym i sfery życia publicznego, politycznego w którym sankcje stosowane w życiu osobistym tracą wszelką wagę dając miejsce całkowitemu amoralizmowi. Wskutek tego protestant nawet szczerze wierzący gotów był zawsze na rozkaz władzy, czy dla tzw. dobra państwa popełniać największe przestępstwa i zbrodnie nie popadając w żaden konflikt ze swym sumieniem.

Nie można wreszcie pominąć milczeniem dającego się zauważyć w ostatnich dziesiątkach lat osłabienia siły duchowej, letargii protestantyzmu, co go uczyniło mało odpornym na wszelkie uderzenia z zewnątrz (w nawiasie trzeba zaznaczyć, że dzisiaj istnieje wiele objawów wskazujących nie tylko na przezwyciężenie owego marazmu, ale nawet na silne odrodzenie się protestantyzmu. Ogniskiem odrodzenia zdaje się być przede wszystkim Szwajcaria, posiadająca teologa tak niepospolitej miary jak Karl Barth).

Byłoby jednak niezgodne z prawdą, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na istnienie w protestantyźmie niemieckim pewnych ośrodków oporu i gdybyśmy zlekceważyli wyniki tego oporu.

Najgłówniejszy taki ośrodek stanowiła tzw. Bekennende Kirche, odłam, którego przywódcą był pastor Niemoeller. W łonie galaretowatej masy protestanckiej była to jedna z nielicznych oaz opozycji w Trzeciej Rzeszy.

Walka tej grupy przejawiała się głównie na terenie władzy i niezależności wewnętrznej Kościoła protestanckiego. Reżim zmierzał do całkowitego podporządkowania go sobie przez wprowadzenie do jego struktury w miejsce ustroju synodykalnego — zasady przywództwa, Fuehrerprinzip, którą uosabiała wtedy wprowadzona nowa naczelna władza tzw. biskupa Rzeszy, Reichsbischof, mianowanego przez rząd. Pod przewodnictwem pastora Martina Niemoellera utworzył się wówczas Związek Pomocy Pastorów (Pfarrernotbund), który objął cztery tysiące pastorów. Związek ten nie uznał władzy biskupa Rzeszy, którym był, jak już wspomnieliśmy, Müller. Ruch opozycyjny ogarnął cały kraj, a kierowały nim takie osobistości, jak biskup Meiser w Bawarii, biskup Wurm w Wirtembergii, prezydent Koch z Westfalii, biskup Dibelius z Berlina, dr Flör z Lipska, dr Asmussen z Hamburga i inni. Synod konfesjonalny zebrany 20 października 1934 w Dahlem pod Berlinem wyłonił jako najwyższą władzę Kościoła protestanckiego tzw. Radę braterską i odmówił rządowi Rzeszy prawa kierowania organizacją Kościoła.

W odpowiedzi na to reżim zarządził represje: zamknięcie szkół kościelnych, prowadzonych przez ten odłam, zakaz wszelkiej działalności związków i grup kościelnych, aresztowanie pewnej części jego pastorów a jednocześnie władze tego Kościoła ogłosił za nielegalne.

W maju 1936 niektórzy członkowie Bekennende Kirche skierowali do Hitlera memorandum, w którym potępili doktrynę narodowo-socjalistyczną, między innymi również antysemityzm.

W dniu 1 lipca 1937 aresztowany został pastor Niemoeller i zesłany na wiele lat do obozu koncentracyjnego. Oblicza się, że około 800 pastorów tego odłamu zostało aresztowanych w r. 1937. Inna rzecz, że większość z nich więziona była tylko na bardzo krótki przeciąg czasu.

Za wyraz najdalej idącej wrogości Kościoła konfesjonalnego względem reżimu w czasie wojny uważa się list biskupa Wurma ze Stuttgartu, skierowany 16 lipca 1943 r. do Hitlera, a protestujący m. in. przeciwko prześladowaniu Żydów. Należy jednak wspomnieć, że po wojnie młodszy kler protestancki w Stuttgarcie oskarżał publicznie biskupa Wurma o uległość i miękkość wobec władz hitlerowskich oraz wypomniał mu, że zapędził kler do szeregów Volkssturmu, z którego zresztą zwolnił go Himmler jako „bezwartościowy materiał wojskowy".

Ten szczegół jest charakterystyczny. Opozycja nawet tzw. Bekennende Kirche posiadała charakter, by tak powiedzieć, kościelno-integralny, nie zaś generalny. Podobnie jak naczelna postać tego ruchu, Niemoeller tak i większość duchownych tego odłamu rekrutowała się z kół konserwatywnych, monarchistycznych i wszechniemieckich. Wszyscy byli wielkimi przeciwnikami Republiki wejmarskiej, którą wyszydzali. Atakowali traktat wersalski i z rewerencją odnosili się w pierwszych latach do NSDAP. Poza nielicznymi wyjątkami antysemityzm hitleryzmu nie był im niemiły i z aplauzem odnosili się do antybolszewickich mów „Fuehrera". Odwrócili się od Hitlera dopiero po odepchnięciu przezeń od władzy Hindenburga i kiedy zaczął on ich atakować na terenie czysto konfesyjnym, kościelnym.

Wspomniane przez nas powyżej „Dokumenty" z walki Kościoła ewangelickiego z hitleryzmem dają obraz doznawanych szykan, nie dają zaś ani cienia obrazu tych prawdziwie neronowych prześladowań, jakich ofiarą padli duchowni i wierni w innych krajach, bo prześladowań takich w ogóle nie było. Najbardziej dramatyczne miejscce tej książki zawiera wykaz zarządzeń, wydanych w latach 1933—1945 w Bawarii przeciwko ewangelickiemu duchowieństwu. Mieszczą się tam takie pozycje jak: przesłuchanie (448 duchownych), ostrzeżenie (303), rewizja domowa (144), konfiskata (163), zakaz wystąpień publicznych (35), grzywna (66), kara więzienia (14), areszt policyjny (55), areszt śledczy (7). Żadnych wypadków morderstwa, tortur, masakr, czy zsyłki do obozu koncentracyjnego!

Niemniej jednak oceniając ogólnie postawę katolicyzmu i protestantyzmu, nie może ona wykazać się żadną akcją; żadnym protestem o ogólnoniemieckim zasięgu i o rezonansie światowym w rodzaju np. wystąpień kardynała Mercier w Belgii w czasie pierwszej wojny światowej, ani też dowodem solidarnego, demonstracyjnego potępienia hitleryzmu, jako przejawu największego barbarzyństwa i najbardziej cynicznego pohańbienia godności człowieka w dziejach. Głosy potępienia, jeśli padały, odnosiły się tylko do pewnych składników doktryny hitlerowskiej, lub też do pewnych występków jej wyznawców jak np. antysemityzm, sterylizacja, walka z religją objawioną itp., nie zaś do całokształtu hitleryzmu.

Aleksander Rogalski

Nie tak gwałtownie!

Najwygodniej jest zaabonować „Odrę" w najbliższym urzędzie pocztowym. Obędzie się bez bójek przed kioskami.

»Nowy« teatr w Warszawie

„Najniewinniejsza intryżka pod słońcem. Magnata hiszpańskiego zakochanego w młodej dziewczynie, którą chce uwieść; wysiłki jakie młoda oblubienica, narzeczony i żona magnata jednoczą, aby unicestwić zamiary absolutnego pana, któremu stanowisko, majątek i hojność dają w ręce wszystkie środki dopięcia swego celu. Oto wszystko, nic więcej. Macie całą sztukę jak na dłoni" — słowa Beaumarchaisego w przedmowie do „Wesela Figara".

Czy rzeczywiście Beaumarchais tylko tyle chciał dać w swej sztuce — pozostanie jego tajemnicą. Napisano wiele tomów na temat rewolucyjności *„Wesela"* i jego autora, a są i tacy, którzy odmawiają autorowi *„Cyrulika sewilskiego"* tytułu świadomego rewolucjonisty. Był nim — jak twierdzą — jedynie mimowoli, a jego działalność literacka szczęśliwie zbiegła się z nastrojami, jakie nurtowały współczesne mu społeczeństwo francuskie i przez to znalazł tak łatwo zrozumienie i głęboki rezonans społeczny, a przede wszystkim polityczny, w umysłach ludzi przedrewolucyjnej Francji.

Porównywanie twórcy *„Wesela Figara"* do Woltera, zwalczającego z całą świadomością filozofa murszejący system państwowy i społeczny jest przesadą, krzywdzącą tego ostatniego. Ale musimy przyznać, że buntownicze hasła Beaumarchais'ego poszły w lud Paryża i z nie mniejszym skutkiem, jak chłodne koncepcje oświeconego Woltera, rozpalały nikły jeszcze płomyczek rewolucji. Pomógł w tym walnie sam symbol chwiejącego się porządku społecznego — Ludwik XVI, który nie tyle może rozumiał ile czuł niebezpieczeństwo utajone w „Weselu Figara", zakazując wystawienia sztuki — *„chyba po zburzeniu Bastylii"*, tak że prapremiera sztuki odbyła się... w Polsce, w Warszawie.

Stało się to w 1783 za przyczyną żony tzw. „Księcia Denasów", pani De Nassau-Siegen, wielkiej miłośniczki teatru. Odtwarzali sztukę — oczywiście w języku francuskim — amatorzy, członkowie arystokracji warszawskiej. Bardzo się podobała, taką została i to dziś jest murowaną pozycją teatrów polskich. Pierwsza premiera w teatrze zawodowym odbyła się w Wilnie w maju 1786 r. w tłumaczeniu Fr. Zabłockiego. Teatr Rozmaitości w Warszawie wystawił *„Wesele Figara"* w 1908 r. w tłumaczeniu W. Grubińskiego. Od wojny światowej gra się w genialnym przekładzie Boya-Żeleńskiego. W ciągu 164 lat życia scenicznego doczekała się w Polsce bez mała 100 inscenizacji.

Jeśli u nas zdobyła takie powodzenie, to cóż dopiero we Francji. Czytana na zebraniach towarzyskich w salonach paryskich zyskała wielki rozgłos, mówił o niej cały dwór królewski, co celniejsze powiedzenia były powtarzane i komentowane, króla naciskano, aby pozwolił ją grać. Namawiany przez dworaków ustąpił i uroczysta premiera — poprzedzona występem w Grennevilliers w pałacu hr. de Vaudrenil — odbyła się w Komedii Francuskiej dnia 27. IV. 1784. Tłum ludzi, dla których zabrakło biletów, wyłamał bramę i wdarł się przemocą do teatru. W ciągu 8 miesięcy grano ją 68 razy, co na owe czasy było ilością niespotykaną.

Bez wątpienia, że jej „rewolucyjność" była magnesem, przyciągającym masy, mówiła zwięzłymi formami — „wszystkie prawdy, po tysiąc razy dyskutowane, przyjęte, niemal utarte, przebił autor stemplem swego talentu na monetę obiegową; nadał im formę najlepiej „niosącą", i tym samym, mocą potężnego słowa padającego ze sceny, wraził je tym głębiej w mózgi i serca współczesne. Nie ma chyba obyczaju, prawa, urządzenia epoki, które by nie przeszły przez ognisty tusz tego bez przerwy iskrzącego się fajerwerku" — pisze Boy w przedmowie do swego przekładu.

Nie wszystkie to jeszcze walory tej wspaniałej komedii. Urok poezji, kapitalny język, błyskotliwy i dowcipny dialog, zręczna intryga, doskonałe sytuacje sceniczne, barwność, tempo akcji stawiają ją w rzędzie najlepszych komedii świata. Wiedziony nieomylnym instynktem talentu dał Beaumarchais w „Weselu" syntezę komedii wszystkich czasów. Znajdziemy w nim Plauta, Marivaux, Moliera i Shakespeare'a. Nie posądzajmy jednak autora „Cyrulika sewilskiego" o świadome naśladownictwo. On to wszystko odziedziczył i ze swoją inteligencją i wrażliwością Francuza genialnie przetworzył. A że bohaterem sztuki jest on sam — bo Figaro jest autoportretem autora — przez to centralna postać komedii jest autentyczna, żywa i bezpośrednia.

Beaumarchais-Figaro to wcielenie ludu francuskiego. Żywiołowość, błyskotliwa inteligencja, stanowczość poparta sprytem — to cechy charakteru Figara. Beaumarchais, syn zegarmistrza (prawdziwe nazwisko: Piotr Augustyn Caron), praktykował u ojca, zrobił jakiś tam wynalazek, przybrał tytuł Zegarmistrza Królewskiego, przez małżeństwo dostał maleńki urząd na dworze królewskim, kupił sobie szlachectwo, a z nim przez to sądy francuskie i przekupną sprawiedliwość, oddawał dwuznaczne usługi królowi i członkom dworu królewskiego, zaznajomił się dokładnie z życiem zakulisowym, niedostępnym zwykłemu śmiertelnikowi.

Jego demagogiczna walka z rozkładającym się systemem była pozornie tylko społeczną. Był to cynik i egoista, który walczył z przeszkodami dlatego, że nie dopuszczały go do grupy, w której chciał się koniecznie znaleźć. W innym miejscu swej przedmowy do „Wesela" pisze: „Występki, nadużycia, oto co się nie zmienia, ale przedzierzga się w tysiąc form pod maską panujących obyczajów: zedrzeć tę maskę, okazać ją w całej nagości, oto szlachetne zadanie człowieka, który poświęcił się pracy dla sceny".

Oczywiście — aktualne dla współczesnych — dowcipy i satyra, utraciły dla dzisiejszego widza żądło, ale pozostał wysoki kunszt słowa. Hasła polityczne i socjalne, tak żywe i piekące dla ludu paryskiego są dla nas anachronizmem, ale wmontowane w sztukę o tak wielkich walorach widowiskowych, pozostają dokumentem chwili i świadczą o potędze wolnego mimo wszystko ducha ludzkiego. Figaro jest dla nas sympatyczny przez to jeszcze, że nie walczy brutalnie. Cel swój osiąga przez śmiech, który jest bardzo skutecznym narzędziem walki, gdy jest mądry. Molier śmiał się także, ale w śmiechu swym był bezsilny. Beaumarchais ze swym chytrym uśmiechem obraca władcą jak zechce.

Jak dzisiaj wystawiać *„Wesele Figara"*? Czy położyć nacisk na walory społeczno-polityczne, czy raczej widowiskowe? Wydaje mi się, że Teatr Nowy zrobił dobrze, zachowując równowagę tych splatających się ciągle w sztuce elementów.

Wśród dość wyrównanych kreacji aktorskich jest kilka pozycji — w moim pojęciu — bardzo udanych, do których w pierwszym rzędzie należy Zuzanna — *Ireny Górskiej*. Nareszcie urocza Zuzia jest pełna nie tylko wrodzonego, szelmowskiego sprytu, ale i prostoty dziewczyny z ludu, jakiej brakowało w przedstawieniu łódzkim *Romanównie*, która naśladując maniery hrabiny, przeładowała postać narzeczonej Figara minoderią.

Bardzo ciekawe ujęcie postaci hrabiego Almawiwy dał *A. Bogucki*. Władca Andaluzji jest równorzędnym przeciwnikiem Figara w sensie intelektualnym, a nie ograniczonym i odętym arystokratą, jak tradycyjnie jest przedstawiany. Jego uległość płynie z pobłażliwości a nie z głupoty. Maniery sceniczne — zresztą w bardzo dobrym gatunku — przypominają sposób gry Leszczyńskiego.

D. Damięcki w roli Figara jest nieco bryłowaty, przyciężki, jakiś niepotrzebnie demoniczny, nie ma w sobie tej lekkości zwinnej i błyskotliwości dialogu, w jakie wyposażył Beaumarchais swego Figara.

J. Godlewska jako Hrabina ma jedną bardzo wazną zaletę — umie śpiewać, a w scenie omdlenia, doskonale oddanej groteskową koloraturą, jest znakomita.

H. Zahorska bardzo ładnie przedzierzgnęła się z wyzyskanej narzeczonej w tkliwą i mądrą matkę Figara. Nie mógł się podobać *K. Mielczarek* w roli Cherubina po Wołłejce z przedstawienia łódzkiego, podobnie jak *T. Fijewski* w roli Gąski, po wspaniałej kreacji Grabowskiego. Przerysowaną postać dał *J. Mroziński* w roli Bartola. Pozostałe role odtwarzali: *E. Fertner* (ogrodnik Antonio), *J. Skulski* (Nauczyciel muzyki Bazyli), *A. Mularczyk* (pisarz Łapowy), *F. Gołąb* (woźny).

Stylowe wnętrza rokokowe wyczarował *Otto Axer*. Przestylizował park w IV akcie, gdzie publiczność daremnie usiłuje rozpoznać kasztany w secesyjnie poskręcanych pniach i gałęziach jakichś fantastycznych drzew.

Opracowanie muzyczne *T. Sygietyńskiego* i wrzaskliwa orkiestra przeszkadzają słuchaniu.

Mimo tych niedociągnięć — przedstawienie dzięki dosc równej grze całego zespołu i zręcznej reżyserii ma dobre tempo, dużo poezji — ale to już jest zasługą Beaumarchais'ego.

Nie wiele niestety pomógł talent komediopisarski Gogola w przeds wieniu *„Ożenku"* w Teatrze R. maitości. Na tym przykładzie jas widać, jak reżyser może położ nawet najlepszą sztukę. Jest druga praca reżyserska *Karola B rowskiego* w Warszawie po wojn Pierwsza — *„Wilki i Owce"* — je... cieszy się dotąd powodzeniem, to tylko dzięki doskonałym aktorom. W „Ożenku" nie ma tak dobrych aktorów, a z tych, których miał do dyspozycji reżyser zrobił marionetki, które coś tam robią i mówią na scenie, z czego zupełnie nie zdają sobie sprawy. Nie warto oglądać i pisać!

Zbigniew Pejot

Opera Śląska

Od wiosny roku 1945. tj. od chwili pierwszych przedstawień operowych w odrodzonej Polsce — obserwujemy powolny, ale systematyczny rozwój ośrodka śląskiego. Premiera „Halki" w tymże roku, jeszcze za dyrekcji śp. Adama Didura zapowiedziała w najogólniejszych konturach to, czego świadkami jesteśmy dzisiaj: drogi zmierzającej niezachwianie do osiągnięcia najwyższego poziomu, bez względu na trudności natury materialnej, czy artystycznej. Dzisiaj Opera Śląska ma za sobą kilkanaście premier, z których każda właściwie stanowiła prawdziwą perłę artystycznego opracowania i oprawy. Zyskała własny gmach w Bytomiu — powiększyła prawie trzykrotnie zespół orkiestrowy i baletowy — zaangażowała pierwszorzędne, młode siły śpiewacze — wreszcie działalność jej w terenie zatacza coraz to szersze kręgi. Opera Śląska wychodząc ze słusznego założenia, że nie jest teatrem elitarnym, że nie służy jedynie jednemu miastu, dawała przez ubiegłe sezony przedstawienia w Katowicach, Chorzowie, Zabrzu, Cieszynie, Sosnowcu, Opolu — sięgając nieraz poza granice wojew. śląsko-dąbrowskiego. Zasięg działania Opery w nadchodzącym sezonie zapowiada objęcie dalszych miast Polski pod warunkiem jednak uzyskania na własność autobusu. Proszę sobie wyobrazić na jak kolosalne trudności narażona jest opera, mająca przewieźć zespół liczący np. 180 osób (często i więcej), kostiumy, instrumenty, rekwizyty itp. zmuszona to wszystko uzależniać od tramwajów międzymiastowych, których wszystkie kaprysy odbijają się automat. na sprawności działania machiny operowej. I tak np. kilka tygodni temu Katowice czekały przy zapełnionej sali „Madame Butterfly" równe pół godziny — okazało się że tramwaj, wiozący orkiestrę, „nawalił". Nikt z nas nie ma pretensji do wypadku, jaki spotkał nasze zacne tramwaje — ale dlaczego tak poważna instytucja ma być zależna od takich wypadków, które przecież zdarzają się o wiele częściej w tej lub innej formie. Opera Śląska, jako instytucja o znaczeniu czołowym w propagowaniu muzyki i upowszechnianiu jej wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa powinna być niezależna od wpływów kasowych i datków doraźnych, lub ograniczonych mocno subwencji. Jeśli chcemy, by opera nasza była dostępna rzeczywiście wszystkim — powinniśmy żądać jej upaństwowienia. Da to możność znacznego obniżenia ceny biletów oraz zapewni jednocześnie stały dopływ gotówki do kasy teatralnej.

Balet Opery Śląskiej w „Aidzie".

Scena z II aktu „Aidy".

A teraz kilka danych odnoszących się rozpoczętego sezonu: Opera posiada 30 solistów, orkiestrę 60-osobową, chór 51-osobowy oraz balet w składzie 40 osób. Z nowych spektakli, opera projektuje wystawienie „Fausta" Gounoda, „Janka" Żeleńskiego, balet Różyckiego „Pan Twardowski" — dalej „Uprowadzenie z Seraju" Mozarta, „Lacme" Delibesa, wreszcie „Poławiaczy pereł" Bizeta. Ze wznowień usłyszymy w bieżącym sezonie: „Rycerskość wieśniaczą" Mascagniego, „Pajaców" Leoncavalloa, „Toscę" Pucciniego oraz „Straszny Dwór" Moniuszki.

Jak widzimy plany są bardzo poważne. Wierzymy jednak, że opera nie projektuje tylko na papierze. Wykona je w stu procentach — ale jeden warunek: własne autobusy i trochę więcej pieniędzy.

Ryszard Bukowski

Tłum.: MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

na dziedziniec wewnętrzny. Na prawo znajdował się mały pokoik, przeznaczony dla Matty. Nie zaniedbano niczego, co mogłoby służyć dla mej wygody.

Nim pięć dni minęło, przyszłam na tyle do siebie, że mogłam już korzystać z ruchomego fotela. W tymże fotelu, mając przy boku Alicję, objechałam całą posiadłość wokoło. Ogrody były tam rozległe, otoczone wysokim murem, rozłożone na łagodnym stoku, lekko się wznoszącym ku wschodowi. W kierunku południowym rozciągały się pastwiska, zabudowania gospodarskie i jeszcze jeden ogród kwiatowy. Ogród ten również otoczony był murem, a ponad to wysokim wałem, którym można było dojść do letniego pawilonu. Był on zbudowany na kształt obronnej wieży, z długimi oknami o ramach z ołowiu, z których otwierał się wspaniały widok na pełne morze.

— To jest sanktuarium ojca — powiedziała Alicja — Tu zawsze sobie pisze i robi obliczenia, a patrząc z okien może obserwować każdy okręt, jadący do Fowey.

Spróbowała otworzyć drzwi, wiodące do pawilonu, ale były zamknięte na klucz.

— Jak wróci, to musimy go poprosić o klucz — rzekła — Będzie tam ciocia mogła świetnie spędzać czas, gdyby w ogrodzie wiatr był za chłodny.

Zatoczyłyśmy duże koło, objeżdżając cały teren i wróciłyśmy przez zewnętrzny dziedziniec, koło domku kucharza. Patrząc z dołu na dwór, po raz pierwszy zauważyłam zakratowane okno pokoju, który sąsiadował z moim i wielką szkarpą, sterczącą na zewnątrz tuż obok okna.

— Dlaczego nigdy się nie używa tego pokoju? — spytałam Alicji mimochodem.

Czasami ojciec tam zachodzi — odparła — Trzyma tam w zamknięciu meble i różne rzeczy wartościowe.

Spytałam później Matty, czy nie wie czegoś o pokoju, który przylegał do mojego.

— Powiedzieli mi, że to graciarnia — odrzekła.

Moja ciekawość została jednak obudzona i kazałam jej się przekonać, czy nie ma w drzwiach jakiej szczeliny. Zbliżyła twarz do dziurki od klucza, ale nie udało się jej nic zobaczyć. Dałam jej swoje nożyczki, przy pomocy których po półgodzinnej pracy wydłubała w boazerii dziurkę, wystarczającą by przyłożyć oko.

Klęczała przy niej chwilkę, a potem zwróciła ku mnie rozczarowaną twarz.

— Nic tam nie ma — rzekła — Pokój jest całkiem pusty, zupełnie taki sam, jak nasz, tylko ma na ścianach obicia.

Zasmuciło mnie to, bo w mój głupi, romantyczny sposób żywiłam nadzieję, że ujrzę tam stos kosztowności. Kazałam Matty zasłonić dziurę w ścianie obrazkiem i wróciłam do przerwanego obiadu.

* * *

Ponieważ następnego dnia pogoda była piękna, jeszcze raz przedsięwzięłam wypad na powietrze, a kiedy wróciłam do domu, dowiedziałam się, że posłaniec przybył do Menabilly, wiozący z Plymouth listy do mieszkańców dworu.

— Sir John Digby został ranny — rzekła Alicja — A oblężenie ma teraz prowadzić nowy dowódca. Zaraz ich tam wszystkich wziął krótko.

— A kto to taki, ten nowy dowódca? — spytał Alicji jej brat Janek, który obecnie występował, jako strażnik przyboczny mego fotela.

— Sir Ryszard Grenvile — odparła Alicja.

Nie było Marii w krużganku w tym czasie, a była ona jedyną osobą, która znała historię mego romansu zresztą od lat skończonego i zapomnianego, mogłam więc bez zmieszania usłyszeć jego imię.

— Słyszeliście, co Grenvile zrobił, jak tylko się pojawił na Zachodzie? — spytał ktoś z rodziny. — Pojechał prosto do Fitzford, posiadłości swej żony, wypędził rządców, zagarnął wszystko, co tam było, wsadził plenipotenta do więzienia, a sam zabrał do swego użytku całe pieniądze, jakie dzierżawcy byli winni jego żonie.

— Myślałam, że on się rozwiódł z żoną — odezwała się Alicja. — Owszem, rozwiódł się. Nie ma prawa ani do jednego grosza z tej posiadłości. Ale to jest właśnie wasz Ryszard Grenvile.

— Ciekawa jestem — rzekłam — Co się stało z jego synem.

— Chłopak był w Fitzford z wychowawcą, kiedy Grenvile tam przyjechał, a teraz z pewnością jest z nim razem .Mówią, że biedny mały jest przerażony i trzęsie się ze strachu przed ojcem.

Powiedziałam wkrótce Jankowi, że chcę, by mnie zanieśli do mego pokoju. Dzień, który zaczął się tak przyjemnie spacerem po wałach, przyniósł mi poten taką gorycz. Resztę dnia spędziłam, leżąc na łóżku, uprzedziwszy Matty, że nie chcę widzieć nikogo.

Przez 15 lat Honoratka z dawnych dni leżała pochowana i pogrzebana, a oto teraz zaczęła się szamotać na nowo pod śmiertelnym całunem, na sam dźwięk imienia, zapomnianego od dawna kochanka. Kiedy myślałam o nim, lub śniłam, co zdarzało się często, odnosiło się to zawsze do niego z tamtych szczęśliwych czasów. A teraz wdarł się przemocą w teraźniejszość. Był odległy ode mnie zaledwie o 30 mil.

15 lat!... Ma więc teraz 44 lata, skoro jest starszy ode mnie o 10 lat.

Leżałam tak, myśląc o Ryszardzie, a także o jego synku, który teraz już musiał być 14-to letnim chłopcem. Drzemałem, oszołoniona marzeniem, kiedy nagle usłyszałam jakiś ruch w przyległym pokoju. Powstrzymując oddech, czekałam. Tak, powtórzyło się to znowu. Skradające się kroki to tu, to tam po pokoju. Potem ustały, a za chwilę jeszcze raz przemierzyły pokój, przy czym po raz pierwszy zauważyłam także prąd zimnego powietrza, dmuchający stamtąd ku mnie. Przypomniałam sobie wtedy, że zamknięte drzwi były wzniesione o jakieś 2 cale nad podłogę, gdyż Matty usiłowała zobaczyć coś tamtędy, zanim nożyczkami zrobiła dziurę w ścianie. Stąd właśnie pochodził ten strumień powietrza, który teraz przepływał, przy tym byłam pewna, że nigdy przed tym nie wiał stamtąd żaden przeciąg. Wobec tego w sąsiednim pokoju musiało się stać coś, co spowodowało ten przeciąg.

Wyciągnęłam rękę po krzesiwko, które Matty zawsze zostawiała przy mym łóżku i zapaliłam świecę. Fotel stał też nie daleko. Przyciągnęłam go blisko do siebie i zsunąwszy się jak najniżej, usiadłam w nim. Ostrożnie przetoczyłam się przez pokój. Przy drzwiach znowu chwilkę zaczekałam. Obrazek, którym Matty przywiesiła dziurkę w ścianie, znajdował się dokładnie na wysokości mego oka. Zdmuchnęłam płomień świecy, ufając losowi, że pozwoli mi znaleźć drogę z powrotem do łóżka. Potem, bardzo ostrożnie, powstrzymując oddech, zdjęłam z gwoździa obrazek i osłaniając twarz dłońmi, jednym okiem zajrzałam w szparę. Pokój był oświetlony jedną tylko świecą , stojącą na nagim stole. Na prawo i na lewo nic już dostrzec nie mogłam, ale stół był wprost naprzeciw mego oka. Jakiś mężczyzna przy nim siedział, odwrócony do mnie plecami. W ręce miał pióro, którym pisał coś na długim, białym skrawku papieru, od czasu do czasu zaglądając do drugiej kartki, leżącej przed nim na stole. Jak już powiedziałam, światło było mdłe, a ponieważ mężczyzna był zwrócony do mnie tyłem, i miał na głowie kapelusz, nie wiele zdołałam zauważyć, prócz tego, że był ubrany w płaszcz podróżny koloru ciemno szkarłatnego. Wysunął się potem poza zasięg mojego widzenia, zabrał świecę i cichutko przeszedł w drugi koniec pokoju. Nic już więcej nie usłyszałam, czekałam jednak dalej zdziwiona, z okiem przy otworze, wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że prąd powietrza nie przepływa już pod drzwiami. A przecie nie słyszałam odgłosu zamykanego okna. Wobec tego ten ktoś, jakąś czynnością, której nie dojrzałam, spowodował ustanie przeciągu, równocześnie wychodząc z pokoju. Wyszedł, tak, jak i wszedł jakimiś drzwiami, które przecie nie były znanym mi wyjściem na korytarz.

Byłam zanadto podniecona, by móc zasnąć przez kilka godzin. Wciąż usiłowałam odtworzyć sobie w głowie ogólne rozplanowanie domu, widzianego z zewnątrz i przypomnieć sobie, co to takiego uderzyło mnie, jako rzecz szczególna poprzedniego dnia, kiedy podjeżdżałam do domu od strony ogrodu. Było już po 4-tej rano, kiedy wreszcie znalazłam na to odpowiedź. Otóż Menabilly było zbudowane w kwadrat wokół dziedzińca, a linie miało proste i czyste, bez żadnych występów w murze, czy szkarp. Ale w północno-wschodnim rogu domu, po zewnętrznej stronie zamkniętego pokoju sterczała z muru szkarpa, wysoka i mocna, przebiegająca od samego dachu, aż po płyty chodnika.

(c. d. n.)

Kronika Olsztyna

ŻYCIE NAUKOWE:

18. X. w sali Miejskiej Rady Narodowej odbyła się inauguracja roku akademickiego na Studium Prawno-Administracyjnym. Dyrektor S. P. A. mgr. Palamarczyk złożył sprawozdanie z działalności Studium za rok 1946/47, poczym nastąpił wykład inauguracyjny prof. dr Karola Korany'ego o przemianach ustrojowych i społecznych w pierwszym 40-leciu XX wieku.

ŻYCIE LITERACKIE:

15. X. w teatrze Miejskim im. St. Jaracza odbyła się premiera sztuki p. t. „Przyjaciel przyjdzie wieczorem" Jacques Companez'a i Yvan'a Noe, w tłómaczeniu St. Ostoji. Udział wzięli: A. Balcerzak, T. Janczewski, J. Kossowska, A. Michałowski, W. Nanowski, J. Nalberczak, Z. Niewczas, T. Olderowicz, R. Pietruski, T. Samogi, M. Sadowska, E. Snieżko-Szafnaglowa, A. Sewruk, A. Szantyrówna, W. Zagórski. Reżyseria Hanny Małkowskiej. Dekoracje projektu J. Hawryłkiewicza, kierownictwo pracowni dekoracyjnej — L. Grajewskiego.

ŻYCIE MUZYCZNE:

19. 10. w sali teatru miejskiego im. St. Jaracza odbył się staraniem Biura Koncertowego Związku Zawodowego Muzyków II-gi poranek muzyczny, tym razem poświęcony utworom Chopina. Wykonawczyni — pianistka poznańska, prof. Gertruda Konatkowska.

26. 10. w sali teatru miejskiego im. St. Jaracza staraniem Biura koncertowego Zw. Zaw. Muzyków odbył się III poranek muzyczny w wykonaniu sopranu koloraturowego Wiesławy Ćwiklińskiej i małej orkiestry symfonicznej pod dyr. prof. M. Dąbrowskiego. W programie: arie z oper, pieśni i muzyka rozrywkowa.

Tydzień Katowic

27. 10. — 2. 11. 47

ODCZYTY:

27. 10. W ramach cotygodniowych Wieczorów Klubu Literackiego, odbył się odczyt prof. Zygmunta Majchrzyckiego, p. t. „Łączność kulturalna Zagłębia ze Śląskiem".

28. 10. Z inicjatywy Dyrekcji Instytutu Śląskiego, odbył się w sali Instytutu „Wieczór Czechosłowacki". Słowo wstępne wygłosił dyr. dr. Roman Lutman. Odczyt pt. „Dzisiejsza Czechosłowacja" wygłosił dr. Marek St. Korowicz.

KONCERTY:

27 i 30. W sali Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej odbył się pierwszy publiczny egzamin dyplomowy studenta wydziału instrumentalnego, sekcja fortepianu — Tadeusza Żmudzińskiego, który wykonał w programie pierwszym recitalu, utwory Bacha, Bramsa, Mozarta, Chopina i Liszta. W programie drugim recitalu, utwory Bach-Busoniego Chopina, Beethovena, Bukowskiego i Albeniza.

31. 10. W sali Filharmonii, orkiestra Państw. Filharmonii wykonała koncert symfoniczny z nast. programem: 1. J. S. Bach-Goedike-Passacaglia c-mol; 2. L. Beethoven, pierwszy koncert fortepianowy C-dur; 3. A. Bruckner, 3-cia symfonia. Dyrygował Witold Krzemieński. Współudział wzięła Regina Smendzianka (fortepian).

Ruch wydawniczy

Godło księcia Bolka II ziębickiego XIV w. Z okładki książki zbiorowej Instytutu Śląskiego „Śląska ziemia i ludzie“ (stron 283), która „ma służyć poznaniu i pokochaniu Śląska“.

*

— Matusiu, po cóż-eście przyjechali?

— Nie znaleźliście syna?

— Nie znaleźliśmy. Szukaliśmy trzy dni. Wierzcie nam. Nie ma go nigdzie.

— Musi być gdzieś ślad utopionego. Woda zawsze wyrzuci. Szukajcie pod jazem. Nie szukaliście tam na pewno. Ja pójdę z wami.

— Szukaliśmy. I pod jazem, i pod lasem.

— Pod jazem ku chałpom macajcie, ku Kobylecom, bo tam jest taki pagórek, co wir w nim jest, i tam go pewnie zakręciło ku chałupom.

Jalu Kurek: „Woda wyżej“, powieść. Wydanie drugie. Kraków, Wydawnictwo „Przełom“.

*

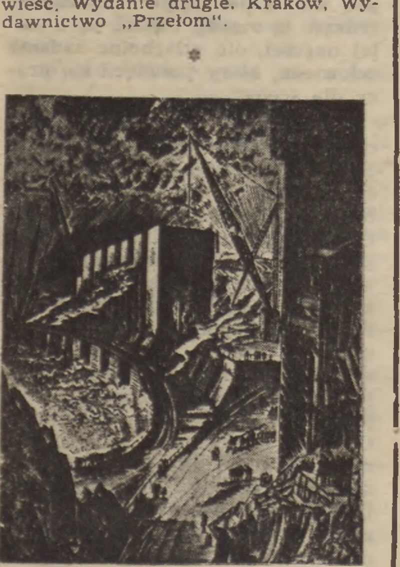

A. Krawczenko — „Dnieprostroj“ (drzeworyt).

Reprodukcja ze specjalnego 6 numeru „Nowych Dróg“, poświęconego całkowicie 30-tej rocznicy rewolucji październikowej dla Polski.

*

Gorącą polemikę z książką prof. Romera „Duch Polski Zachodniej“ i zawartymi w niej spostrzeżeniami toczy Andrzej Wojtkowski w wydanej przez Towarzystwo Naukowe K. U. L. broszurze „Duch Ziem Zachodnich“ (stron 16). Prof. Romer twierdzi np., że najbardziej istotną cechą ducha Polski Zachodniej jest materialistyczny partykularyzm. Na to Wojtkowski: ...z klasyfikacji prof. Romera wynika tylko potwierdzenie znanego już od dawna faktu, że Zachód Polski góruje nad jej Wschodem swoim zmysłem gospodarczym. Zmysł zaś gospodarczy i rządność ekonomiczna nie są bynajmniej przejawem zmaterializowania życiowego. Skoro, według opinii ks. Waleriana Kalinki sformułowanej w życiorysie generała Dezyderego Chłapowskiego, nierząd ekonomiczny jest przejawem i skutkiem jakiegoś nieporządku w duszy, natenczas rządność ekonomiczna jest jednym z przejawów i skutków ładu w duszy, a więc czegoś całkowicie niematerialnego.

Wśród czasopism

Piszemy o inflacji pism literackich, piszemy dosyć ostro i ferujemy wyroki skazujące na pisma, które już istnieją, a tymczasem ukazują się nowe. Można i tak. Pozostaje nam jednak prawo sprawdzenia referencji, sprawdzanie takich czy innych uprawnień pozostawiamy ludziom bardziej kompetentnym i specjalnie w tych czynnościach zamiłowanym.

Referencji o piśmie literackim młodego pokolenia literackiego udziela *Tadeusz Borowski* jako naczelny redaktor miesięcznika *„Nurt“*. Referencja niezła, pozwalająca się spodziewać czegoś nowego, śmiałego, prowokującego w dobrym tego słowa znaczeniu. Ale referencjom nie zawsze warto ufać. Bo oto „mała literatura w natarciu“ okazała się dosyć wątła. Pierwszy numer pisma to raczej pewna rejterada. Pluton, który ruszył do natarcia, znamy. Prócz Borowskiego Roman Bratny, Tadeusz Różewicz, Stanisław Ziembicki, dalej Stanisław Marczak-Oborski, jeszcze Ewa Fiszer, drukowana ostatnio w różnych „kolumnach młodych poetów“, no i kandydat prof. Sinki do Akademii Literatury Wilhelm Mach. Wysunięty na czoło numeru Tadeusz Gajcy reprezentuje tych młodych pisarzy, których żołnierska śmierć wyrwała z owego nurtu. Ogólnie rzecz biorąc, pismo zdradza dwie koligacje: z okupacyjnym młodym literackim środowiskiem warszawskim, środowiskiem Baczyńskiego i Gajcego choć daleko odbiega od nich ideowo, oraz z grupą, którą znamy już z krótkotrwałego „Pokolenia“. Można by rzec, że „Nurt“ wychodzi zamiast „Pokolenia“, że jest do pewnego stopnia jego kontynuacją. Jeśli mówiłem tu o rejteradzie, to dlatego, że artykuł Marczaka-Oborskiego jest raczej tylko markowaniem natarcia („Walka o treść po raz drugi“), że inna o charakterze do pewnego stopnia programowym wypowiedź Macha idzie w kierunku poszukiwania kompromisu dla postawy krytyki literackiej, że w końcu przekłady Sartre’a, Aragona, Steinbecka niewiele nam mówią o napięciach kierunkowych naszej młodej literatury. Sam Borowski przy tym wszystkim poprzestaje na lirycznym wspomnieniu o zamordowanym przyjacielu. Słowem pierwszy numer „Nurtu“ po szumnych zapowiedziach raczej rozczarowuje. Ten nurt wydaje się dosyć leniwy, niesie ze sobą jakoś bardzo niewiele i nie porywa. Nawet nie wiadomo, czy podmywa jakieś brzegi, czy z kimś walczy.

Inną nowością wśród naszych czasopism literackich jest pewnego rodzaju usamodzielnienie *Dziennika Literackiego*. Pierwszy numer tego pisma, pomyślanego jako 8-stronicowy dodatek do *„Dziennika Polskiego“* ukazał się w zimie br. Początek był bardzo interesujący. Popularne pismo literackie na wysokim poziomie, dysponujące współpracą wielu wybitnych i wyrobionych piór. Ograniczenia papierowe, które zredukowały rzecz do 4 stron gazetowanego formatu, wstrzymały rozwój pisma. Materiał był zbyt szczupły, rozmiary artykułów za duże. Obecnie *Dziennikowi Literackiemu* przywrócono jego poprzednie rozmiary i wypuszczono go na rynek również niezależnie od dziennika macierzystego. Nakład 100.000 egzemplarzy czyni *Dziennik* rzeczywiście pismem literackim dla szerokich rzesz czytelników. Sposób redagowania, dawania treści ważkiej w ujęciu przystępnym i bez niepotrzebnych powikłań, charakter ten podkreśla. W chwili, gdy tak popularny u nas „Przekrój“ coraz bardziej się „magazynuje“, coraz mniej uwzględnia literatury, którą tak dobrze reprezentował i popularyzował na początku, przemiany, jakie zaszły w *Dzienniku Literackim* z tym większą należy powitać radością. Niewątpliwie będzie to najpopularniejsze pismo literackie w Polsce, mające swoje duże znaczenie w kształtowaniu się u nas kultury literackiej. Zamiast więc narzekań na inflację czasopism literackich mamy niemal nowy tygodnik w stutysięcznym nakładzie. Kto rzuci nań kamieniem i powie, że nie jest potrzebny? To nie jest inflacja, to uczciwa, porządna robota, którą kieruje utalentowany i doświadczony redaktor *Stanisław Witold Balicki*.

Inflacja pism literackich istnieje, ale nie u nas. I to w dodatku pism polskich. Bo oto ukazał się w połowie października w Stuttgarcie (dla ścisłości: Niemcy, strefa amerykańska) *Przegląd Literacki*, tygodnik, który wygląda na organ powstałego niedawno Polskiego Klubu Literackiego, założonego na użytek „ludzi pióra“ zamieszkujących strefę amerykańską w Niemczech. Zapyta ciekawy czytelnik, o jakich „ludzi pióra“ tu chodzi. Służymy nazwiskami: Jerzy Jur-Sten, Janusz Laskawski (prezes tego całego towarzystwa), Jan Leszcz, Jarosław Horski, Marek Gordon, Stanisław Zybała, Jan Kowalik („wieszcz“ narodowy Polaków strefy amerykańskiej), no i jeszcze kilku innych. Jak widzimy same tuzy, które tak definiują słowami wspomnianego powyżej „wieszcza“:

> *Jest wielkie, puste pole.*
> *Ponad nim płynie czas,*
> *Na samym końcu stanął,*
> *Jak smutek śmierci — las.*

Wiersz nosi tytuł „Życie“. Żeby nie było wątpliwości. Imponuje tu głęboki związek z dawną tradycją literacką (wyraźne wpływy starej sentencji „nie było nas, był las“...). Imponuje też (krytykowi „Przeglądu“) — „podejście poetyckie“ — pod co? — chyba pod śledzika. Reszta prac literackich „Przeglądu“ na poziomie — takim samym naturalnie. Przedruku z Łobodowskiego nie liczymy. Jak widzimy organizują się i aktywizują polscy „literaci“ w Niemczech. Szykują się faceci, żeby nas „weryfikować“. Caveant consules... Na razie poprawiają nasze błędy, pouczają, że nie należy pisać „z wzruszeniem“, lecz „ze wzruszeniem“, wzdrygają się na zestawienie słów „czyta je się też“ w jakimś piśmie i odstawiają... demokratów, ogłaszając równocześnie konkurs na pracę „na temat stosunku współczesnego pokolenia młodzieży polskiej do Józefa Piłsudskiego“. Inicjatorzy konkursu wychodzą m. in. z założenia, że Piłsudski „stał się jeszcze w większej mierze niż za życia wychowawcą i wodzem, że najsilniej zespoliła się z nim młodzież, idąca w pierwszych szeregach walki w kraju, czy na obczyźnie, w starciach orężnych czy konspiracji“. Ponieważ uważam, że polska młodzież w kraju, do której inicjatorzy konkursu się odwołują, powinna tłumnie wziąć udział w tym konkursie, podaję warunki: praca może być potraktowana ogólnie lub osobiście, może być w formie artykułu, essayu, odczytu, dialogu lub szkicu, zawierać może 20 stron pisma maszynowego. Udział w konkursie może brać każdy Polak lub Polka o nieprzekroczonym wieku lat 30. Więc dalejże do roboty! Komu braknie fantazji, niech wyszuka coś z przedwojennej literatury panegirycznej. Będzie leżało jak ulał i na pewno dadzą się nabrać. Pierwsza nagroda, 25 funtów, murowana. Bardziej pożądane są prace nieco zmodernizowane i podbudowane doświadczeniami ostatniej wojny. Wtedy jednak z nagrodą będzie trudniej, bo prace należy kierować do Instytutu Józefa Piłsudskiego dla Badania Najnowszej Historii Polski (dyrektor Janusz Jędrzejewicz) Oddział w Londynie, 42, Holmbush Road London SW 15.

Warto jeszcze zaznaczyć, że grono skupione wokół „Przeglądu Literackiego“ ubolewa z powodu „niepotrzebnej uchwały“ literatów emigracyjnych, siedzących w Londynie, o niedrukowaniu ich utworów w kraju. Oni mieliby ochotę jednak być drukowani, przy czym wymieniają pisma i wydawnictwa, na które liczą jak na Zawiszę. Z określeniem uchwały jako „niepotrzebnej“ należy się zgodzić. Poza kilkoma pisarzami z prawdziwego zdarzenia (osobiście doliczyłem ich się pod listem pięciu czy sześciu) nie mamy pretensji. *Nie potrzeba* było specjalnej uchwały, bo się i tak nikt o drukowanie ich prac nie dopominał i nie zabiegał. Dlatego uchwała była niepotrzebna. Jeśli zaś chodzi o prace panów z „Przeglądu Literackiego“, to żadna siła, żaden najsroższy rozkaz, nawet bomba atomowa nie zmusi nas do ich drukowania. Nie potrzebujemy też pouczeń. Sami wiemy, czego nam brak, sami wiemy, że daleko nam jeszcze do tego, co pragnęlibyśmy w Polsce mieć, że czeka nas jeszcze dużo pracy przy kształtowaniu się naszej demokracji, ale nie mamy wątpliwości co do jednego: demokracja tych panów od opisanego powyżej konkursu to dymana demokracja

(ki)

Krótkie spięcia

W obronie Warty

Są niektóre miejscowości na Ziemiach Odzyskanych szczególnie upośledzone przez los, że się tak wyrazimy — los nomenklaturowy. M. in. należy do nich Warta Śląska w powiecie kłodzkim. Oczywiście, że ta Warta Śląska nazywa się tak tylko niejako prywatnie, bo w oficjalnej rzeczywistości jej nazwa brzmi inaczej, i to co gorsza — rozmaicie inaczej. A więc czynniki administracyjne nazywają ją na przykład Bardo. Ale już na stacji widnieje napis „Bardo Śląskie“, zaś poczta używa stale pieczęci „Warta — Śląsk Dolny“.

Ponieważ zaś na Pomorzu, w powiecie słupskim, istnieje również miejscowość Bardo, poczta Łagów koło Staszowa, więc listy adresowane do Barda, czyli do Warty Śląskiej idą naprzód na Pomorze do tamtego Barda, a potem dopiero po dłuższych perypetiach wracają, albo i nie wracają, jako że czasami wylały rzeki i pełne zwierza bory — do Warty Śląskiej czyli do tzw. Barda właściwego.

Oprócz tego Bardo, czyli Warta Śląska, nosi jeszcze w rozmaitej mniej lub bardziej urzędowej nomenklaturze, na drogowskazach, napisach, mapach itp. takie nazwy jak: Brda, Byrda, Brida, Bardy, Bordo Śląskie oraz Barda Śląska. Czyli jak widzimy embarras de richesse, inaczej — do wyboru i do koloru.

Niewątpliwie w wiekach średnich (to znaczy w XI i XII w.) ta Warta Śląska nazywała się — według zachowanych dokumentów — Bardo, Byrdo lub Barda (Bardo znaczyło tyle co „wzgórze“), ale z biegiem lat to „B“ zmieniło się na „W“ a „d“ na „t“ i od setek lat istniała już nazwa Warta. Była ona tym bardziej powszechnie znana, że miejscowość sama stała się z uwagi na miejsce pielgrzymkowe tym dla Dolnego Śląska, czym Piekary dla Górnego. Warta więc od dawna się przyjęła na całym Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie i doprawdy nie było żadnego celu, by wracać do średniowiecznej Bardy czy Barda. Pod nazwą bowiem Warty znana jest ta miejscowość i Polakom opolskim i pod tą nazwą zaznajomili się z nią osadnicy oraz repatrianci. I nikt też teraz Warty inaczej nie nazywa jak Wartą.

Z czasów niemieckich zachowało się się nawet pewnego rodzaju curiosum, świadczące, że nawet w tej Warcie, leżącej daleko, bo aż koło Kłodzka, od centrum polszczyzny, Niemcy liczyli się z napływem elementu polskiego w postaci pielgrzymek. Owe curiosum przedstawia się w postaci objaśnienia treści obrazów, wiszących w kościele (dziś oczywiście przebywające w archiwum kościelnym) i wygląda tak:

„Objasnienie tych obrazow

Najwazniejsze Zdarzynia s tej historyi

s miejsca lask od roku 1110—1926.

1. **Najmilsza Matka Boska objawila sie modziezowie i oddawa mu cudowny obras.**
2. **Uleczynie czeskiego Ryczyrza, Budownika tego cudownygo czeskiego Kosciola.**
3. **Objawienie placzocej Matki Boskiej na Gorze Wartha.**
4. **Zbudowanie tego Kosciola lask przes Opata Jana I od roku 1408—1411.**
5. **Spalynie dwuch Patnychksiaze Zisterzienzow przes Husytow roku 1425.**
6. **Jedyn Patny Kaplan wyratowal cudowny obraz s spalaczego Kosciola przy ktorem snalas smierc w roku 1525.**
7. **Zbudowanie terazniejszego Ko sciola lask i tego Klasztoru przes Opati Augustina Neudeck i Gerarda Woiwode w roku 1686—1726.**
8. **Zisterzienze wygnani i wywlaszczynie z Warthe w roku 1811.**
9. **Rozancowe Kapllecze w Warth cie a ich Zalozyciel przewielebny Ojciec Franz.**
10. **Z tego dawniejszego Klasztoru Zisterzienzow jest szkola wytaczana a dla uzytku przewielebnym Ojcom Redemptoristom oddana w roku 1926.“**

Warta zatem przetrwała wszystko, i odłączenie Śląska od Polski, i panowanie czeskie, i panowanie habsburskie, i panowanie pruskie, i reżim hitlerowski, i... straszliwą pisownię niemiecko-polską — może by więc pozostawić już ją choćby dla żywej tradycji, jaką ona stanowi dla mas polskich na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku...?

Jeśli Wieniec-Zdrój wygrał bój ze Świeradowem-Zdrojem, to może by też i Warta wygrała walkę z Bardem, czyli nazwą już doprawdy dla nikogo niezrozumiałą, a dla niektórych nawet nieco komiczną...? Daj Boże.

Niejaki X.

JÓZEF PRUTKOWSKI

Kraina szwagrów

Skończył się okres żółtych łat i lagrów,
Swastyk i szwabskich piosenek.
Bujnie rozkwita kraina szwagrów,
Kraina cioć i wujenek.
Ledwie wujenka wejdzie do urzędu,
Możecie wierzyć, że niedługo będą:

Siostrzeniec — kasjerem,
Synowiec — buchalterem,
Wujek — personalnym,
Stryj — odpowiedzialnym,
A dziadek — portierem.

I ma wujenka wszystkich na etacie.
Bogacą się bracia i zięć się bogaci,
A w całym urzędzie mało kto pracuje,
Bo każdy tak się familijnie czuje.

Siostrzeniec, co jest kasjerem,
Synowiec, co jest buchalterem,
Wujek — personalny,
Stryjek — odpowiedzialny
I dziadek, co jest portierem.

Wujenko, wujenko, cóżeś ty za pani,
Że za tobą idą, że za tobą idą,
Sami wybierani.

Jak to przy wujence ładnie,
Zawsze jakaś premia wpadnie.
Koledzy cię nie żałują,
Papierosem cię traktują.

Wujenko, wujenko cóżeś ty za pani,
Że twój personalny wydział jest do bani.

Kończę ten wierszyk wnioskiem nagłym,
Nie widzę innej rady.
W krainie płynącej mlekiem i szwagrem,
Niech w gruzach legną szwagrów posady!...

Na fali 19,43 m

Jak donosiła niedawno prasa, otrzymaliśmy ze Związku Radzieckiego wiele cennych dzieł i rękopisów, zrabowanych przez Niemców w czasie okupacji. Starannie opakowane, w skrzyniach obitych blachą, przybyły bezcenne druki i manuskrypty do Warszawy. Na zdjęciu — w dobrym towarzystwie „białych kruków“ Kosmografia Ptolomeusza

Są książki, które — jak to się mówi — wstrząsnęły sumieniem świata. Są również takie artykuły. Ameryka czytała nie tak dawno jeden z tego wysokiego gatunku publikacji. Był to reportaż Johna Hersey’a „Hiroshima“ — opowiadanie o losach sześciu ludzi, którzy przeżyli w Hiroshimie wybuch bomby atomowej i jego skutki. „Opowiadanie Hersey’a zmieniło wykresy i karty fizyczne w problem ludzki... dla wielu zagadnienie Wallace contra Byrnes przestało być zagadnieniem teoretycznej polityki.“ Reportaż Hersey’a narobił wiele huku, rozchwytano milionowy nakład, Einstein zamówił telegraficznie 1000 egzemplarzy.

A potem sprawa atomowej zbrodni ucichła, przekrzyczały ją nawoływania do „trzeciej wojny“, pochwały faszyzmu — i wezwanie do nowych eksperymentów z bombą atomową, tym razem kosztem nie wyludnionej Bikini, ale tych narodów, które zdecydowały się na ustroje polityczne, w jakich stanowczo nie gustują amerykańscy politycy wojującego dolara.

Konflikt między dążeniami pokojowymi młodych demokracji europejskich i ekspansji „amerykańskiego nowego porządku“, nie odbiegającego w koncepcji od hitlerowskich „drangów“ — przybiera ostatnio na sile i zaostrza się.

Demokratyczni pisarze i publicyści opowiedzieli się w tej sprawie otwarcie i bez ogródek, przede wszystkim radzieccy publicyści.

List otwarty pisarzy radzieckich do pisarzy amerykańskich, podpisany przez W. Fadiejewa, B. Gorbatowa, W. Katajewa, A. Korniejczuka, L. Leonowa, K. Simonowa, M. Szołochowa i in. — i dwa głośne artykuły Erenburga, z których jeden „Z notatek pisarza“ drukowała „Trybuna Tygodnia“ 5. X. br. (i „Kuźnica“ z 10. XI. pod tytułem „Kultura jest niepodzielna“) — oraz drugi, zamieszczony w „Odrodzeniu“ pt. „Głos pisarza“ (26. X. br.) — są nader znamienne w obecnym układzie sił ekonomicznych i politycznych.

Wypowiedzi wielkiego humanisty określają wyraźnie postawę radzieckiego obywatela wobec sprężonej do bombowego skoku na Europę „kultury atlantyckiej“.

Podział sił zarysowuje się coraz ostrzej: z jednej strony jest zaczadzony hitleryzmem Bullit, głupawy Rankin, wojowniczy Churchill — z drugiej są ci wszyscy, którzy nie chcą wojny, są narody, których demokratyczne ustroje okrzepły lub zrodziły się w czasie wojny.

Najbardziej przekonywająco i pokojowo przemawiają dziś pisarze i publicyści radzieccy: „Naród nasz nie ulegał i nie ulega nienawistnym nastrojom wobec innych narodów. Z życzliwym zainteresowaniem przyglądali się nasi ludzie dalekiej Ameryce; jednych pociągał Jack London, drugich — dobre filmy, innych konstruktorzy samochodów... Tłumaczy się Dreisera, Hemingway’a, Steinbecka“ — pisze Ilia Erenburg. Ale „można było nie zatrzymywać się na obłudnym kramarzu, który zarzucał świat żółtą prasą, reklamami i gumą do żucia, lecz nie można milczeć, gdy ten obłudny kramarz grozi obrzuceniem świata bombami.“

I Erenburg nie milczy. Jest bezlitosny w sądach i sformułowaniach, widzi przeraźliwie jasno. Wie, że jego pióro wypowiada jego naród — tak jak książki Steinbecka, Faulknera, Hemingway’a, Caldwella, Wrighta, Millera — są pełne przerażenia, niesmaku, nienawiści i ucieczki — do tego bowiem zmusza ich obserwacja życia w trumanowskiej Ameryce.

Zbrodnie popełnione przez hitleryzm nie zaciemniają w ZSRR obrazu zbrodni popełnionych przez kapitalizm. Pewni Amerykanie „na długo przed Hitlerem wynaleźli u siebie getto dla Murzynów i sąd Lyncha“. Dzisiaj chcieliby narzucić Europie „kulturę atlantycką“, przeciwstawić ją kulturze „europejskiej“. Oto wołanie jednego z głosicieli tej wiary, doktora (!) Roberta Montgomery’ego, profesora uniwersytetu (!) w Teksas: możemy w ciągu dwudziestu czterech godzin zabić 75 milionów Rosjan! *A oto odpowiedź człowieka radzieckiego:* nikt u nas nie pragnie wojny, nikt, ani jeden człowiek.

Dlatego: „jeżeli w Ameryce można znaleźć ludzi wierzących, że lichwiarze bomb atomowych rzeczywiście bronią kultury — to w Europie takich durniów nie ma.“

To, co napisane powyżej, mogło by zakrawać dla niektórych na propagandę. Nie będziemy się w nią bawić. Niech nas nie porywa szlachetna, żarliwa pasja Erenburga. Jest metoda, która pozwoli każdemu czytelnikowi tej rubryki na samodzielny sąd. Zacna i niezawodna metoda porównań. Zastosujmy ją, ponieważ słyszymy dwie racje, prawdziwa jest tylko jedna.

Na co powołują się Amerykanie? Na wyżymaczki lepsze od rosyjskich, na elektryczne piece w obcasie, na najlepszą gumę do żucia, wreszcie na bombę atomową. Szczycą się wysokim nakładem powieści Betty Mac Donald: „Jajko i ja“ (drukowanej u nas w „Przekroju“). Rosjanie osiągnęli wyższy nakład — ale książek Balzaca, Tołstoja, Szołochowa. O tych przeciętny Amerykanin nic nie wie. Whitmana poznają w Ameryce studenci uniwersytetu, w Rosji każdy chłop i robotnik zna Majakowskiego.

Na jakich sojuszników w Europie powołuje się „atlantycka kultura“? Na Gide’a, na Romainsa? Andrè Gide podziwiał nie tak dawno „mądrość Hitlera“, dzisiaj dodaje otuchy młodzieży niemieckiej w strefie USA. Jules Romains pisał niegdyś, że uważa faszyzm za najrozsądniejszy ustrój społeczny. Rozkoszowali się nim Francuzi w czasie okupacji.

Jakich sojuszników posiadał na zachodzie Związek Radziecki? Wybitnych uczonych Langevina i Joliot Curie, świetnych malarzy Picassa i Matisse’a, znakomitych poetów Eluarda i Aragona.

„Jesteśmy świadkami, jak przeciw krzyżowcom, trzymającym w jednej ręce dolary, a w drugiej bombę atomową, powstaje sumienie świata“. W obozie zwolenników nowej, barbarzyńskiej krucjaty na Europę, tym razem amerykańskiej „nie znajdują się Einstein, Shaw, najlepszy poeta Ameryki łacińskiej Pablo Neruda, katolicy Jose Bergamin i Martin-Chauffiez, ani Jean Cassou, Andre Chamson i inni.“

Narody Związku Radzieckiego nie pragną wojny, nienawidzą mordu. Są w ich miłości do pokoju ofiary Wielkiej Rewolucji Październikowej, trzydziestoletnia walka o chleb, oświatę i sztukę dla wszystkich, wreszcie w ostatniej wojnie przelana krew, która okupiła europejską kulturę od zagłady. Świadomość własnej potęgi wzbudza poczucie bezpieczeństwa.

Narody Związku Radzieckiego znają cyfry poległych i zamordowanych w ostatniej wojnie: 34 miliony ludzkich istnień. I znają wielocyfrową liczbę dolarów zarobionych w czasie wojny przez dzisiejszych apostołów „nowego amerykańskiego ładu“ — i przez wyznawców doktryny Trumana i planu Marshalla.

Andrzej Wydrzyński.

Warszawa, dn. 2. 11. 1947.

Ob. Wilhelm Szewczyk
Redaktor Naczelny „Odry“

Z okazji wydania setnego numeru „Odry“ przesyłam Panu i wszystkim współpracownikom serdeczne życzenia dalszego rozwoju pisma. Budźcie ciągle i niestrudzenie w społeczeństwie polskim świadomość niebezpieczeństwa niemieckiego.

Pracujcie nad związaniem Narodu Polskiego z Ziemiami Odzyskanymi. Ziemie Odzyskane trzeba nie tylko zagospodarować, trzeba je także pokochać. Staną się wtedy nieodstępną własnością Narodu.

STEFAN DYBOWSKI
Minister Kultury i Sztuki.

Spółdzielnia Wydawnicza

CZYTELNIK

Przekłady z literatury rosyjskiej

	Dwa wieki poezji rosyjskiej. Antologia. Ułożyli i opracowali Pollak S. i Jastrun M.	str. 496
Pawłow I. P., Sherrington Ch. S., Adrian E. D.	**Mózg i jego mechanizm.** Tłum. Konorski J., Miller S. (Biblioteka „Mathesis Polskiej“)	„ 173
PRISZWIN M.	**Korzeń życia.** Tłum. Stawar A., Hertz P.	„ 268
SZOŁOCHOW M.	**Cichy Don.** Tłum. Stawar A., Rogowicz W.	
	T. I cz. I	„ 143
	T. I cz. II	„ 168
	T. I cz. III	„ 226
	T. II cz. I	„ 225
	T. II cz. II	„ 254
TOŁKACZEW Z.	**Majdanek.** (Teka graficzna)	
TOŁSTOJ A.	**Droga przez mękę.** Trylogia. Tłum. Broniewski W.	
	Cz. I **„Siostry“**	„ 375
	Cz. II **„Rok osiemnasty**	„ 430
	—o—	
TUWIM J.	Lutnia Puszkina. Antologia.	„ 153
	—o—	
Jakubowski W.	Słownik rosyjsko-polski i polsko-rosyjski Cz. I	„ 430
	Cz. II	„ 461

Książki dla młodzieży

CZUKOWSKI K.	**Bajki.** Tłum. Broniewski W.	
GAJDAR A.	**Timur i jego drużyna.** Tłum. Jarmolińska H. (Biblioteczka Młodego Czytelnika)	„ 89
GORKIJ M.	**Dzieciństwo.** Tłum. Bilska H.	„ 207
ILJIN M.	**Jak samochód uczył się chodzić.** Tłum. Gulbińska St. (Biblioteczka Naukowa Młodego Czytelnika)	„ 21
TOŁSTOJ L.	**Dzieciństwo.** Tłum. Hertz P. (Biblioteczka Młodego Czytelnika)	„ 155

W najbliższym czasie ukażą się

ILJIN M.	**Sztuczne oko** **Czarno na białym** **100.000 Dlaczego?** **Góry i ludzie**	
SZOŁOCHOW M.	**Cichy Don.** Tom III, IV	
TOŁSTOJ A.	**Piotr I.** Tom I	43

Korespondencja

O Berezie kartuskiej

W rubryce „Kronika czesko-słowacka“ w numerze 99 „Odry“ z dnia 19 października br. przytoczona była recenzja berneńskich „Svobodnych Novin“, która zawiera kilka nieścisłości domagających się sprostowania.

Tekst wspomnień Aleksandra Hawryluka p. t. „Bereza“ zachował się dzięki jego pierwodrukowi w zeszytach „Widnokręgów“ z r. 1941 w języku polskim, wydawanych wówczas pod naczelną redakcją Wandy Wasilewskiej we Lwowie. Współredaktorami tego pisma byli Boy-Żeleński i Julian Przyboś. Ogłoszone były zatem po raz pierwszy po polsku i to na długo przedtem nim ukazały się w języku ukraińskim. Po raz pierwszy ogłosił te wspomnienia z polskiej Grajgóry w języku ukraińskim periodyk lwowski „Radiański Lwiw“ w numerach sierpniowym, wrześniowym, październikowym 1945 z wyjaśniającym komentarzem w podtytule „z pośmiertnej spuścizny literackiej pisarza“ a wydanie ich poprzedziło ogłoszenie w prasie codziennej o poszukiwaniu egzemplarzy „Widnokręgów“ zawierających polski tekst „Berezy“. Widocznie tekst polskiego pierwodruku służyć miał do rekonstrukcji całości albo celem porównania czy uzgodnienia ukraińskiego oryginału z polskim pierwodrukiem.

Autor jedynej dotychczas pozycji memuarowej z Berezy Hawryluk zginął dnia 22 czerwca 1941 r. od bomby, gdy wracał z ukraińskim pisarzem Tudorem i z polską literatką Charczewską z klubu pisarzy obok gmachu głównej poczty u wylotu ulicy Obrony Lwowa, towarzysze jego zginęli również.

Mieczysław R. Frenkel

Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 54019